



MARGO MCINTOSH



MIŁOŚĆ POD  
ŻAGLAMII

## Rozdział 1

Plaża Lummi Island skąpana była w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Pośrodku wyspy wznosiła się góra przypominająca kształtem grzbiet wieloryba. Obficie zalesiona Lummi Island stanowiła zieloną oazę wśród niezmiernych wód oceanu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, niebawem utonie w Pacyfiku, opuszczając na noc wyspy San Juan.

Poza Kim Perkins na plaży było jeszcze kilkoro ludzi. Jakaś mama z dwoma małymi synkami szukała muszelek w mokrym piasku u stóp skał, a nie opodal nich stał zapatrzony w fale mężczyzna.

Kim zatrzymała na chwilę wzrok na jego smukłym, wspaniale umięśnionym ciele.

Szybko jednak spuściła oczy potrząsając głową. Dlaczego tak bardzo zainteresował ją ten nieznajomy? A zainteresował ją do tego stopnia, że na chwilę zapomniała, po co przyjechała na tę wyspę. Chwyciła małą łopatkę i wykopała dołek w piasku. Na widok małży uśmiechnęła się, ciesząc się na wyborną kolację.

Znad lśniącej wody przyfrunęły mewy i obsiadły niskie skały, które wkrótce zostaną zalane przez przyływ.

Kim wyprostowała się i przeciągnęła obolałe od schylania plecy. Była wysoka, szczupła i bardzo zgrabna. Daleko stąd, tam gdzie woda była głębsza, kołysał się jej jacht „Montrail”. Jakże kochała jego smukłą sylwetkę! Tylko jej dwie córeczki i wykonywany z pasją zawód lekarki były dla niej ważniejsze od niego.

Bliźniaczki miały teraz po dwanaście lat. Samotne wychowywanie dziewczynek nie było łatwe, ale na szczęście Kim miała doskonałą gospodynię, Annę Mac Kensie, która jej pomagała we wszystkich problemach dnia codziennego.

Głośny śmiech i pokrzykiwania chłopców wyrwały ją z zamyślenia. Chwyciła znowu łopatkę i zaczęła tak gorliwie kopać w piasku, że już po kwadransie napełniła koszyk małżami.

Chciała jeszcze raz spróbować szczęścia o kilka metrów dalej. Nagle na plaży rozległ się przeraźliwy krzyk. Odwróciła się i zobaczyła matkę chłopców. Stała na skałach, krzyczała i machała rozpaczliwie rękami.

Kim rzuciła wszystko i biegiem puściła się w stronę skał. Do kobiety dotarła równocześnie z nieznajomym. Błyskawicznie wspięli się po ostrych odłamkach skalnych na górę. Kobieta szlochała pochylając się nad jednym z

chłopców, który leżał bez ruchu na twardych kamieniach. Musiał popełnić jakiś błąd przy wspinaniu się na skały.

Mężczyzna chciał podnieść chłopca, ale Kim powstrzymała go w ostatniej chwili. - Proszę go nie dotykać! - zawołała i kucnęła przy leżącym. - Nie wolno go ruszyć, dopóki nie stwierdzimy, czy nie odniósł jakichś wewnętrznych obrażeń. Jestem lekarką - wyjaśniła matce chłopaka.

W oczach kobiety ujrziała strach o życie dziecka.

- Proszę się nie martwić zawczasu - Kim chciała ją trochę uspokoić. Wprawnie przeprowadziła wstępne oględziny leżącego.

Najpierw zbadała puls, a potem położyła swą szczupłą dłoń na czole dziecka.

- Proszę pana - zwróciła się do mężczyzny - czy mógłby pan zmoczyć w wodzie swoją koszulę i przynieść ją tutaj?

Bez słowa zszedł na dół do oceanu.

Kiedy wrócił, Kim spuściła kilka kropel wody na twarz chłopca i mokrą dłonią przetarła mu czoło. Powoli, bardzo powoli otworzył oczy. Nikt nie odzywał się ani słowem, pełną napięcia ciszę przerywał jedynie urywany szloch matki. Chłopiec jęknął i usiłował wstać.

- Nie ruszaj się, proszę - powiedziała Kim opanowanym, spokojnym głosem. Łagodnym naciskiem dłoni zmusiła chłopca do zachowania pozycji leżącej. On zaś spoglądał ze zdziwieniem w oczy nieznanym kobiecie, nie wiedząc, czy ma jej posłuchać, czy nie.

- Leż spokojnie, synku - usłyszał głos matki. - Ta pani jest lekarką. Musi sprawdzić, czy nie połamałeś sobie czegoś.

Kim zaś badała dalej swojego niespodziewanego pacjenta, przemawiając do niego łagodnie. Spytała go, teraz, gdy odzyskał świadomość, czy coś go boli, po czym poprosiła, żeby ostrożnie poruszał wszystkimi kończynami.

- Jak się czujesz? Nie masz mdłości?

- Nie, w ogóle - odparł chłopiec pewnym głosem.

- To dobrze. - Kim uśmiechnęła się do niego, po czym zwróciła się do mężczyzny. - Teraz może go pan podnieść.

Skinął głową, schylił się nad chłopcem i bez wysiłku wziął go na ręce.

- Hej! - powiedział wesoło. - Ależ ty jesteś umięśniony! Całkiem niezłe jak na takiego młodego człowieka!

Chłopak uśmiechnął się i z dumą zerknął na lekarkę, która szła obok nich brzegiem plaży. Cały czas myślała o obrażeniach, jakie mógł odnieść przy upadku, a których powierzchowne badanie mogło nie wykazać. Musiała

spowodować, aby chłopiec został przewieziony do szpitala i tam poddany gruntownym badaniom, przede wszystkim zaś prześwietleniu.

Dochodzili już do parkingu. Mężczyzna złożył chłopca ostrożnie na trawie, a Kim ponownie obmacała jego kończyny.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować - matka wyciągnęła dłoń do lekarki i uścisnęła ją serdecznie. - Co za traf, że lekarka była akurat w pobliżu! Dziękuję również panu! - zwróciła się do mężczyzny. - Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez państwa pomocy...

Kim obejrzała jeszcze źrenice chłopca i poradziła jego matce, aby jak najszybciej zawiozła dziecko do szpitala.

Mężczyzna pomógł jeszcze umieścić rannego w samochodzie, a polem patrzyli oboje w ślad za niebieską limuzyną, która pomknęła jak strzała przybrzeżną drogą.

- Dobra robota! - usłyszała Kim głos mężczyzny. - W jakiej dziedzinie medycyny specjalizuje się pani? Ma pani świetny stosunek do dzieci.

- Jestem chirurgiem ortopedą - odparła Kim odgarniając z twarzy pasmo długich kasztanowo-brązowych włosów. Im dłużej patrzyła na tego mężczyznę, tym większej nabierała pewności, że już go gdzieś widziała.

- Uroda i rozum - usłyszała jego głos. - Rzadko spotyka się kombinację tych cech w jednej osobie.

Kim nie odpowiedziała, dziękując za komplement jedynie uśmiechem.

To prawdziwa piękność, pomyślał nieznajomy, patrząc na nią ukradkiem. Niemniej znowu odezwała się w nim głęboko zakorzeniona antypatia do kobiet robiących karierę, choćby miały nie wiem jak długie nogi, talię osy i ponętny biust.

W Waszyngtonie, gdzie miał swoje biuro jako senator Montany, poznał wystarczająco dobrze ten gatunek pań. Nie był co prawda pewien, czy urodziwa lekarka reprezentuje ten sam typ charakterologiczny, ale postanowił mieć się przed nią na baczności.

Po chwili milczenia wyciągnął rękę do Kim i przedstawił się:

- Przyjaciele nazywają mnie Reynold.

W jego głosie Kim wyczuła nagle pewną władczość, na którą dotychczas wcale nie zwróciła uwagi. Przez chwilę zawahała się, potem jednak przyjęła wyciągniętą do siebie dłoń.

- Chętnie zaprosiłbym panią na drinka - kontynuował z uśmiechem - ale nie znam tej wyspy i nie wiem, gdzie mogłaby tu być jakaś restauracja. Przypląnąłem tu z Cap Sante wypożyczoną łodzią. - Nadal trzymał jej dłoń w swojej.

- Dziękuję - odparła Kim - ale wolałabym wrócić na mój jacht. Przyplływ...

Nagle przypomniała sobie o koszyku z małżami. Krzyknęła, zasłoniła usta dłonią i pobiegła przed siebie. Jej długie włosy powiewały na wietrze.

- Cholera! - mruknęła pod nosem, widząc, że przyplływ dosięga już koszyka.

- Szybko! - zakomenderował mężczyzna. - Jeśli się pospieszymy, zdążymy go uratować.

Biegiem wrócili do podnóża skał, błyskawicznie wdrapali się na nie, zbiegli w dół i dosłownie w ostatniej chwili dopadli koszyka. Ręce ich dotknęły się przypadkowo, gdy jednocześnie chwycili za pałąk.

Przez chwilę spoglądali na siebie zdyszani, ale szczęśliwi, że ich wysiłek nie poszedł na marne, wreszcie Kim wybuchnęła śmiechem.

- To czyste wariactwo! Koszyk uratowaliśmy, ale niech pan spojrzysz na swoje spodnie! Zamoczył je pan aż do kolan.

Spojrzał na nogawki i również roześmiał się. - Ma pani rację, ale to w końcu nic takiego. Nie rozumiem tylko, dlaczego nadal stoimy w wodzie?

- To dobre pytanie - odrzekła Kim.

- Będę podążał za panią, madam. - Skłonił się przesadnie nisko i poszedł za Kim na suchy piasek. Następnie pochylił się i zrolował nogawki spodni do kolan.

Kim obserwowała go w milczeniu. W obecności tego mężczyzny czuła się jakoś dziwnie nieswojo. - Mógłbym rozpalic ognisko, jeśli pani sobie życzy.

Kim potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję, muszę wracać na jacht.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że żeglujecie pani całkiem sama? - spytał z niedowierzaniem.

Twarz Kim spochmurniała nagle. Dlaczego mężczyźni odmawiają kobietom jakichkolwiek zdolności? Jakże często słyszała już to pytanie! Zawsze jednak zadawali je mężczyźni, nigdy nie padło ono z kobiecych ust.

- Oczywiście, że sama żegluję - burknęła odrobinę może zbyt ostro.

- I to już od lat.

Spojrzał na nią z nie ukrywanym zdziwieniem. - Lekarka i doświadczona żeglarka w jednej osobie, no, no...

Znowu użył owego impertynenckiego tonu, tonu, jaki już zdążyła serdecznie znienawidzić. - Uważa więc pan, że kobiety nie powinny samotnie żeglować?

Kim nazwała go już w myślach męskim szowinistą, z drugiej zaś strony poczuła, że serce jej bije nie wiadomo czemu żywiej. - Wniosek z tego, że nie akceptuje pan kobiet, nazwijmy to, zanadto samodzielnych?

- Nie, to nie tak. Codziennie stykam się z inteligentnymi, bardzo energicznymi ludźmi - po części są to nawet kobiety. Chciałem po prostu wyrazić swój podziw dla pani wszechstronnych umiejętności. Jaką długość ma pani jacht?

- Około dziesięciu metrów. - Kim podniosła koszyk i wyprostowała się. - Dziękuję za uratowanie mojej kolacji - powiedziała i odwróciła się. Potem jednak jeszcze raz spojrzała na niego. - I za pomoc przy chłopcu.

Szybkim krokiem ruszyła na pomost, do którego przymocowała bączek.

Cały czas czuła na sobie jego wzrok. Słońce zniknęło już za horyzontem, ale na falach malowały się jeszcze ostatnie migotliwe refleksy. Kim poczuła, że robi jej się gęsia skórka, ale wcale nie była pewna, czy efekt ten zaistniał z powodu zimna, czy też z zupełnie innych powodów.

Wstawiła koszyk do bączka, odwiązała łódkę i popchnęła na wodę. Chciała już do niej wsiąść, gdy nagle Reynold znalazł się u jej boku.

- Przytrzymam pani łódkę - zaproponował chwytając za burzę. Kim zawahała się. - Niech pan posłucha, Reynold, za chwilę zrobi się ciemno. Mam nadzieję, że ma pan światła pozycyjne na swojej łodzi. Jeśli nie, nie radziłabym panu wypuszczać się na otwarte morze.

- Niech się pani o mnie nie martwi, doktor...

Teraz dopiero Kim uświadomiła sobie, że jeszcze mu się nie przedstawiła. - Och, przepraszam. Kim Perkins.

- Doktor Kim Perkins, tak? No, więc niech się pani o mnie nie martwi. Przeżyłem już o wiele gorsze rzeczy, może mi pani wierzyć. - Znowu to spojrzenie spod krzaczastych brwi, wywołujące w Kim pewien niepokój. - Poza tym nie mam się gdzie spieszyć, nikt na mnie nie czeka. Może tu po prostu zostanę. I tak jestem przyzwyczajony do kanapek z masłem orzechowym, co za różnica, czy będę je jadł na plaży, czy w domu.

- O, nie, nie dopuszczę do tego! - zaprotestowała Kim. - Nic mogłabym pałaszować smakołyków, wiedząc, że pan prawie głoduje. Zapraszam do mnie na jacht. Przygotuję kolację dla nas dwojga.

Reynold uśmiechnął się. - Dlaczego mnie pani zaprasza? Z litości? A może ma pani wyrzuty sumienia z powodu moich przemoczonych spodni?

- A ma to jakiegokolwiek znaczenie? - Kim odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Jak widać, nie ma pan lepszej propozycji.

Roześmiał się na potwierdzenie jej słów. Kiedy wspomniał o kanapkach z masłem orzechowym, Kim pomyślała sobie, że musi być samotny. A jeśli nawet - to co?



- Byłbym głupcem odrzucając pani zaproszenie - powiedział. Wsiadł do bączka i chwycił za wiosła.

- Nie trzeba - zaprotestowała.

- Proszę to potraktować jako rewanż za kolację - odrzekł zanurzając wiosła w wodę.

Kim objęła kolana ramionami. Wzdrygnęła się, gdy owiał ją zimny podmuch wiatru - - Przykro mi - odezwał się Reynold - ale poza mokrą koszulą niczego nie mogę pani zaoferować.

- Zaraz przecież będziemy na miejscu - zauważyła Kim. Głos jej zabrzmiał dość niepewnie, ponieważ właśnie uświadomiła sobie, na jakie ryzyko się naraża. Nie była chyba przy zdrowych zmysłach, zapraszając kompletnie obcego mężczyznę na pokład swego jachtu.

Za późno już jednak było na tego rodzaju obiekcje, ponieważ przybili właśnie do burty „Montrail”. Kim chwyciła linę zwisającą z relingu i umocowała nią bączek do jachtu. Zręcznie wdrapała się przez reling na pokład, a jej gość pospieszył za nią.

- Powinna pani włożyć coś cieplejszego - powiedział, gdy oboje znaleźli się już na jachcie.

- Pan też. - Kim zeszła po schodkach do kabiny pod pokładem. Reynold poszedł za nią. Począł, aż zapali światło, i zaciekawiony rozejrzał się dookoła.

Kabina została urządzona bardzo przytulnie. Po obu jej stronach stały ławki wyposażone w tapicerkę, które można było rozsunąć tak, aby służyły za posłania. Zarówno wykładzina jak i obicie mebli utrzymane były w ciepłej złotobrazowej tonacji.

Kim szukała czegoś w szafce. Po chwili wyciągnęła z niej niebieski pulower. - Na pewno będzie dla pana za ciasny, ale nie mam specjalnego wyboru ubrań na pokładzie. - Przeszła do przedniej kabiny, zamknawszy za sobą drzwi. Reynold zdążył jednak zauważyć, że i w tamtej kabinie są takie same ławki z miękkimi siedzeniami i oparciami, tyle że ustawione w kształt litery V.

Zdjął przemoczoną koszulę i wcisnął się w pulower. W istocie nie był to jego rozmiar. Miło jednak było mieć na sobie coś suchego.

Obciągnął przykrótkie rękawy swetra, zastanawiając się, jak też w tym przebraniu wygląda. Roześmiał się nagle. Zachowywał się bowiem jak sztubak, który chce zrobić wrażenie na dziewczynie. Było w tym coś z prawdy, gdyż Kim była naprawdę piękną, a w dodatku inteligentną kobietą. Nie mógł zaprzeczyć, że mu się podoba.

Kilka minut później drzwi otworzyły się i ukazała się w nich Kim, przebrana w biały miękki sweter i szare wełniane spodnie. Swoje długie włosy upięła w kok.

Oczy ich spotkały się i przez krótką chwilę Reynold poczuł jakieś niezwykle napięcie.

- Czy mógłbym pani w czymś pomóc? - spytał uprzejmie.

- Ciasno tu co prawda i wołałabym, żeby mi się pan nie kręcił pod nogami, ale może pan przecież usiąść na ławce i oczyścić małże. Mam wrażenie, że moczyły się dostatecznie długo. W lodówce mam butelkę białego wina, zdaje się chablis, które chciałam wypić do kolacji.

Kiedy garnek z małżami stał już na kuchence, Reynold napełnił kieliszek winem i podał go Kim. Usiadła naprzeciwko niego.

- Nie spytałam pana jeszcze o pański zawód, Reynold, i co pan porabia na wyspie. Spędza pan tu urlop?

Skinął głową. - Tak, spędzam urlop na wyspach. Jutro przyłączam się do grupy sportowej rybaków. Słyszałem, że tu biorą wspaniałe łososie.

- Nie wygląda pan wcale na rybaka - roześmiała się Kim.

- To pewnie z powodu mojego nowego swetra - skrzywił się, usiłując podłużyć rękawy sięgające mu zaledwie łokci. - Nie znalazłbym lepszego przebrania dla ukrycia swojej tożsamości.

- Oj, nie jestem tego taka pewna. - Kim pokręciła głową z powątpiewaniem. - Już na plaży wydawało mi się, że skądś pana znam. Może to zresztą tylko złudzenie. Skąd pan pochodzi, Reynold? I jakie ma pan właściwie nazwisko?

- Pozwoli pani, że się przedstawię. - Wstał, skłonił się głęboko i powiedział: - Reynold Burns, senator z Montany.

Gdy podniósł głowę, zobaczył utkwione w siebie wielkie oczy Kim. - Wiedziałam przecież, że skądś pana znam. Teraz już wiem, skąd. To pan przedłożył wniosek o nowym prawie szpitalnym. Pana zdjęcie pojawiało się wystarczająco często na łamach prasy.

O, Boże, pomyślała w duchu, jest tylu mężczyzn na świecie, a ja musiałam trafić właśnie na tego!

- A więc to pan zasiał niepokój we wszystkich amerykańskich szpitalach - kontynuowała. - Zastanawiam się, czemu nie rozpoznałam pana wcześniej? Wie pan zapewne, jakie prawo mam na myśli, panie senatorze? - Głos Kim stawał się coraz bardziej gniewny. Jakże często miała ochotę dobrać się temu facetowi do skóry! - Mówię o ustawie, która zmusza lekarzy do tego, aby odsyłali swoich pacjentów do domu bez względu na ich stan zdrowia, tylko



dlatego, że minął czas przewidziany na ich leczenie. Mogą natomiast przedłużyć swój pobyt w szpitalu, jeżeli zapłacą za leczenie z własnej kieszeni.

- To prawo ma moc ustawodawczą od ponad roku.

- Nie zmienia to faktu, że jest ona chybiona, panie senatorze. Ja nadal nie mogę się z nią pogodzić. Pewna jestem, że dostał pan mnóstwo skarg i zażaleń, których przedmiotem jest absurdalność owej ustawy. Od lekarzy, od pacjentów i od ich krewnych.

- Rozumiem, że pani jako lekarka ma określony pogląd na tę sprawę, ale proszę pamiętać, że są dwie strony medalu.

- Uwagę tę może pan równie dobrze odnieść do siebie. Jestem zdania, że tej drugiej stronie nie poświęcił pan ani jednej myśli.

- Wręcz przeciwnie, pani doktor. Uczestniczyłem w naradach ciągnących się tygodniami, trwającymi po dwanaście, czternaście godzin. Niech pani doda do tego jeszcze debaty na forum Senatu, w których brały udział najteższe głowy kraju, a wśród nich również przedstawiciele pani zawodu. Zastanawiam się, skąd wzięła pani swoje informacje. Czyżby z jakiegoś fachowego pisma medycznego?

- Zupełnie zbytecznie sili się pan na ironię, senatorze Burns. Moje informacje bazują na bezpośrednich doświadczeniach, jedynym w tej sytuacji wiarygodnym źródle. Czy naprawdę nie wie pan, że szpitale wypisują do domu tysiące chorych i umierających tylko dlatego, że rząd uznał, iż służba zdrowia pochłania zbyt wiele pieniędzy?

- Proponowałbym jednak, żeby zajęła się pani wspomnianą już drugą stroną medalu. Nie myśli pani chyba, że uchwaliliśmy tę ustawę lekkomyślnie. Naszą decyzję oparliśmy na licznych badaniach w służbie zdrowia, które jednoznacznie wykazały, iż konieczne jest stworzenie pewnych barier. Szpitale stały się coraz droższe i mamy dowody, że w wielu przypadkach pacjenci przebywali w nich po prostu zbyt długo.

Z garnka z małżami wydobywały się właśnie kłęby pary, a pokrywka podskakiwała niecierpliwie. - Małże są już dobre - powiedziała Kim bez specjalnego zachwyty. - Powinniśmy je zjeść.

Zła była, że zaprosiła tego faceta na jacht.

- Jako lekarka wie pani na pewno, że przy jedzeniu nie należy się kłócić, jako że nie sprzyja to trawieniu. Wypijmy jeszcze po kieliszku wina i porozmawiajmy spokojnie. Może znajdziemy jakiś kompromis, a może nabierze pani rozsądku.

- Rozsądku mi akurat nie brakuje - zaperzyła się Kim. - A na urlop wybrałam się między innymi po to, żeby odetchnąć na chwilę od problemu, jaki pan nam stworzył.

- Okay, proszę wypić wino i zmieńmy może temat. Zgoda? Małże pachną tak apetycznie, że niemal umieram z głodu.

Kim uznała, że nie ma sensu walczyć dalej z Reynoldem. Postanowiła, że nie da sobie popsuć urlopu, ani przez niego, ani przez jego bzdurną ustawę. Wyłożyła małże do salaterki i postawiła ją na stole, po czym usiadła znowu naprzeciwko gościa.

Łamali biały chleb na kawałki, maczali go w sosie, jedli małże ze skorupki i popijali winem. Kolana dotykały się pod wąskim stolikiem, mimo że Kim starała się odsunąć jak najdalej. Już niedługo, pocieszała się. Zaraz sobie stąd pójdzie i nigdy już go nie zobaczą. Będą mogła w spokoju kontynuować urlop.

Reynold ponownie napełnił kieliszki. Jacht zakołysał się lekko, co oznaczało, że wiatr stał się silniejszy. Przez chwilę Kim i Reynold patrzyli sobie w oczy.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że samotnie wybrała się pani w ten rejs - powiedział Reynold. - A może schowała pani męża w którejś szafie?

- Nie, nie mam męża, ani tutaj, ani w domu. Mam za to dwie dwunastoletnie córki.

Kolejny podmuch wiatru zakołysał „Montrail” tak mocno, że talerze zaczęły jeździć po stole. Kim zebrała je natychmiast i wstawiła do zlewu.

- Wiatr jest coraz silniejszy. Radzę panu czym prędzej wracać na plażę.

Reynold wstał i podszedł do niej. W tym momencie jacht zakołysał się tak mocno, że Kim po prostu rzuciła mu się w ramiona. Objął ją natychmiast i przez chwilę byli tak blisko siebie, że czuła bicie jego serca.

Nie zrobiła nic, żeby uwolnić się z tego uścisku, poczuła bowiem tak cudowne podniecenie, że chciała, aby ta chwila trwała w nieskończoność.

Reynold pochylił się i pocałował ją w usta. I znowu nie znalazła w sobie dość siły, żeby temu zapobiec.

Nagle oderwał się od niej. - Nie ma potrzeby, abyśmy oboje marzli na pokładzie. Poradzę sobie sam. - Jego głos zabrzmiał jakoś nieswojo.

- Pożyczę od puli bączek i jutro rano go odstawię.

Odwrócił się i wyszedł z kabiny, zanim Kim zdążyła coś powiedzieć.

## Rozdział 2

Kim była bardzo zadowolona z tego, że gość opuścił jej jacht, gdyż czuła się w jego towarzystwie niepewna i słaba.

Nauczyła się już unikać mężczyzn, którzy wkraczali w jej życie po to, aby nim komenderować. Tacy mężczyźni żądali zazwyczaj, żeby rezygnowała z wykonywania zawodu, wyznaczając jej funkcję gospodyni domowej i matki.

- Reynold Burns nie potrzebuje kobiety, lecz gosposi - mruknęła do siebie.

Minął już rok, od kiedy rozstała się z Ronem. Była to całkowicie spontaniczna decyzja i dziś nie umiałaby już wyjaśnić, dlaczego ją podjęła.

Westchnęła ciężko i zaczęła się rozbierać. Włożyła koszulę nocną i rozłożyła się w śpiworze w przedniej kabynie.

Następnego ranka obudził ją krzyk mew i łoskot fal o burty. Ubierając się przypomniawszy sobie tę chwilę, kiedy znalazła się w ramionach Reynolda... Dzięki Bogu nie doszło do niczego więcej. Bączek! - pomyślała nagle.

Wyszła na pokład i zobaczyła łódkę na swoim miejscu. Niebieski pulower leżał porządnie złożony na ławeczce, a pod nim Kim dostrzegła jakąś kartkę. Wciągnęła obie rzeczy na pokład i przeczytała wiadomość od senatora. Pochyłym pismem, znamionującym energiczny charakter, dziękował jej za kolację i życzył przyjemnego urlopu.

Opuściła rękę, w której trzymała kartkę, i zapatrzyła się w dal na Orcas Island. Nie wiedziała, dlaczego stale o nim myśli i dlaczego to myślenie nie sprawia jej przykrości. Zmięta papier z wściekłością i rzuciła go do morza.

Wysoka pozycja słońca na niebie uświadomiła jej, że długo spała. Wiatr był na tyle silny, że mogłaby późnym popołudniem dotrzeć do Fisherman's Bay po drugiej stronie Lopezu.

Szybko zeszła do kabiny, uprzątnęła posłanie i przebrała się. Nie mogła się już wprost doczekać chwili, w której postawi żagle.

Kiedy jacht znalazł się na właściwym kursie, zarzuciła na plecy wełnianą kurtkę.

Widoczność była tak dobra, że bez trudu dostrzegła Upright Head. Jeśli siła wiatru utrzyma się, za kilka godzin minie przylądek Lopez Island i wpłynie do portu w Fisherman's Bay, gdzie zamierzała przenocować.

Była już blisko Lopez Island, gdy wiatr nagle zmienił kierunek. Dopiero za trzecim razem udało jej się wpłynąć do wąskiego kanału, prowadzącego do Fisherman's Bay.

Po obu stronach kanału dzieci bawiły się w piasku. Z zapalem machały rączkami do pasażerki pięknego jachtu. Kim również do nich machała. Słońce grzało tak silnie, że musiała zdjąć kurtkę.

Widać już było port. Cumowało w nim mnóstwo jachtów. Kim uniosła siedzenie, pod którym znajdował się silnik, i nacisnęła starter. Z przerażeniem stwierdziła, że nic się nie dzieje. Spróbowała jeszcze raz. Bez powodzenia. Jak to dobrze, że nie ściągnęła jeszcze żagli. Szybko pobiegła do foka i postawiła go. Zanim wróciła do steru, stwierdziła z ulgą, że główny żagiel wzdyma się tak, jak trzeba. Nie powinna mieć więc kłopotów z wejściem do portu.

Nagle usłyszała głośne śmiechy i odwróciła się. Zbliżał się do niej olbrzymi jacht z wieloma młodymi ludźmi na pokładzie. Prędko posterowała na bok, żeby mu zrobić miejsce. Tuż przy wejściu do kanału ustawiono tablicę nakazującą żeglarzom zmniejszyć szybkość, ale kapitan jachtu-kolosa nie zastosował się bynajmniej do tego zalecenia.

Kim znajdowała się teraz w bardzo niebezpiecznej bliskości skał. Nie groziło jej niebezpieczeństwo kontaktu z nimi pod warunkiem, że wiatr nadal będzie wydymał żagle. Kim ujęła mocniej rumpel, ale obcy jacht był już koło niej. Spowodował ogromną falę, która dosłownie rzuciła o wiele mniejszy jacht „Montrail” w bok. Żagle załamały się, a Kim spostrzegła, że skały są dosłownie o kilka metrów od niej.

Zerwała się na równe nogi, chwyciła drzewce spinakera i skierowała je w stronę przeciwną do skał. Kątem oka widziała, że ludzie na pomostach i na plaży uważnie przyglądali się jej poczynaniom. Niektórzy z nich krzyczeli coś, prawdopodobnie dawali jakieś wskazówki czy rady, jak ma postąpić. Ale Kim nie zwracała na nich uwagi. Wszystkimi siłami i umiejętnymi zmianami pozycji utrzymała jacht w bezpiecznej odległości od skał.

Gdy tylko ślad wodny tamtego jachtu uspokoił się, pobiegła postawić grotmaszt.

„Montrail” znowu zbliżył się do skał. Tym razem Kim mogła już tylko liczyć na szczęście. I rzeczywiście, wiatr zadał w żagle. Kim chwyciła linę, umocowała ją i złapała za rumpel, aby powoli wyprowadzić jacht na głębszą wodę i wejść wreszcie do portu.

Senator Reynold Burns znajdował się wśród widzów tego niecodziennego widowiska. Wstrzymawszy oddech przyglądał się ryzykownym manewrom Kim. Teraz zaś odczuwał coś na kształt dumy, zwłaszcza że słyszał pochlebne komentarze pod adresem swojej nowej znajomej. Tak, był szalenie dumny z

tej znajomości. Ciekaw był tylko, jak zareagowałyby na jego niespodziewaną obecność wśród gapiów.

Zauważył oczywiście, że podoba się Kim. Jej reakcja na jego uścisk i pocałunek była absolutnie jednoznaczna. Wolał jednak mieć się na baczności. Jakies bliżej nieokreślone przeczucie kazało mu strzec się tej kobiety.

Być może zależało mu na opinii. W czasie swojej politycznej kariery poznał wielu kawalerów, którzy w niewłaściwym czasie pokazali się publicznie z niewłaściwymi kobietami, przez co bardzo sobie zaszkadzili.

Łapał się jednak na tym, że stale o niej myśli. Nie był pewien swoich uczuć w stosunku do niej, wiedział tylko, że koniecznie musi ją znowu zobaczyć.

Przyspieszył kroku, żeby wyjść jej na spotkanie w porcie.

Kim sprawdziła dokładnie odległość dzielącą jacht od nabrzeża. Odczekała jeszcze chwilę, potem zaś puściła szoty. Żagiel zwinął się i opadł w dół masztu. Później chwyciła cumę, która wpadła prosto w ręce Reynolda. Zrećźnie i szybko umocował ją wokół pachoła.

Udało się! Kim wyprostowała się z dumą i z niesłychaną wdzięcznością przyjęła brawa publiczności.

Skłoniła się z uśmiechem, skierowanym przede wszystkim do Reynolda.

Zeskoczyła z pokładu na nabrzeże. - Co za miła niespodzianka! Nie myślałam, że jeszcze się spotkamy! Wyłynął pan chyba wczesnym rankiem...

- Musiałem wstać wcześniej, aby na czas dołączyć do mojej grupy. Kim rozejrzała się zaciekawiona. - Nie - roześmiał się. - Moich kolegów tu nie ma. Siedzą na górze w restauracji i zapewne czekają na mnie. Ja zszedłem nad ocean, żeby podziwiać zachód słońca i przemyśleć sobie pewne sprawy.

- A ja panu przeszkodziłam tymi moimi manewrami? - spytała Kim z uśmiechem.

- Ależ nie! - zaprotestował Reynold gorąco. - Dała pani prawdziwy popis żeglowania. Rad jestem, że nic się pani nie stało.

Kim zobaczyła w jego oczach coś, co ją zdumiało. Patrzył na nią tak, jakby chciał się dowiedzieć, co czuła w owej chwili, gdy ją przytulał i całował.

- Dziękuję panu, Reynold - szepnęła. - Widzę, że stara się pan naprawić swoje wczorajsze zachowanie. - Kim powiedziała to bez namysłu, impulsywnie.

- Wniosek z tego, że myślała pani jeszcze o naszej wczorajszej dyskusji.

- Naturalnie, że tak.

- Czy mógłbym zrobić coś, żeby pani nie zatrąła sobie reszty urlopu? - zapytał.



- Nooo - zawiesiła głos. - Może pan na przykład postarać się o wycofanie tej ustawy.

Stał tak blisko niej... Zapach jego wody po goleniu uderzył w jej nozdrza i nagle ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby znów znaleźć się w jego ramionach. Co się z nią działo? Wiedziała przecież, że senator Burns nie pasuje do jej życia. Mimo to nie mogła się oprzeć jego na wskroś męskiemu urokowi.

- Wie pani, Kim, praca, jaką wykonuję w senacie, ma również służyć ludziom. Jest pani inteligentną kobietą. Dlaczego nie spojrzysz pani na tę sprawę z racjonalnego punktu widzenia? Sytuacja finansowa rządu nie pozwalała na inny wybór.

- Ponieważ pacjent nie wyleczony do końca nie może myśleć racjonalnie - odpowiedziała Kim.

- Zaraz się ściemni. Co by powiedziała pani na wspólną kolację, przy której moglibyśmy dokończyć rozmowy? Jestem pani dłużnikiem.

- Aha, widzę, że pan również uważa, że dobre jedzenie i parę kieliszków wina potrafi rozładować atmosferę? - zirytowała się Kim początkowo, potem jednak stwierdziła, że propozycja senatora jest nader kusząca. Cały wieczór w jego towarzystwie.

- Okay - zgodziła się prędko. - Muszę się jednak najpierw przebrać. Za minutę będę gotowa.

Reynold roześmiał się. - Nie znam kobiety, której przebieranie się zajęłoby zaledwie minutę. Wróć tu po panią za kwadrans.

Oddalił się pirsem w kierunku wielkiego jachtu czarterowego, przycumowanego przy końcu nabrzeża. Kim odprowadziła go wzrokiem i westchnęła mimo woli. Tak, był niewątpliwie bardzo przystojny. Ale co z tego, pomyślała zaraz, nie może przecież łączyć z nim żadnych nadziei na przyszłość.

Wzruszyła ramionami, sprawdziła jeszcze raz cumę i zeszła do kabiny wziąć prysznic.

Wycierając się nadal myślała o senatorze z Montany. Wciągnęła rajstopy i jak zwykle kamieniem pierścionka rozerwała je natychmiast. Ten pierścionek dostała od swoich córeczek na Dzień Matki. Tracy i Megan oszczędzały miesiącami z kieszonkowego, żeby jej sprawić przyjemność. Musiała im przyrzec, że nigdy nie zdejmie go z palca.

Teraz też go nie zdjęła. Wyciągnęła z szuflady następną parę rajstop i postarała się nie zahaczyć cienkiej przędzy.

### Rozdział 3

Wyszczotkowała włosy przed małym lustrem wiszącym na ścianie kabiny. Wargi uszmkowała delikatnie. Z biegiem lat doszła do przekonania, że im mniej się maluje, tym korzystniej wygląda.

Potem włożyła białe spodnie i biały długi pulower z miękkiego kaszmiru. Z uśmiechem spojrzała na ławkę, na której siedział senator Burns. To był jednak miły wieczór.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie w burtę. - Czy mogę wejść na pokład? - usłyszała głos tego, o którym właśnie myślała.

Otworzyła drzwi i roześmiała się. - Mam wrażenie, że jest już pan na pokładzie. Może zszedłby pan do kabiny na kieliszek wina?

- Wolałbym, żeby pani wyszła na pokład, oczywiście jeśli jest pani gotowa. Mamy fantastyczny zachód słońca.

Kim wyszła na górę. - Ma pan rację - szepnęła. - Nigdzie zachód słońca nie jest tak piękny jak tutaj, na Wyspach San Juan.

Reynold pomógł jej zejść na ląd. - Usiądźmy tam na trawie, za portem. Stamtąd będziemy mieli niczym nieograniczoną widoczność. - Wziął ją za rękę i pobiegli jak dzieciaki, które boją się, że mogą stracić niepowtarzalną okazję do zabawy.

Gdy dotarli na łąkę, Reynold rozpostarł na niej swoją kurtkę i gestem zaprosił Kim, żeby na niej usiadła. Sam zajął miejsce obok. Kim zerknęła na niego z ukosa. Miał niezwykle szlachetny profil, prosty nos, wychodzący piękną linią spod krzaczastych brwi, oraz mocno zarysowany podbródek. Nadal nic potrafiła zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna tak bardzo ją pociąga. Powinna go raczej nienawidzić za wszystkie kłopoty, które sprawił jej i jej pacjentom.

Po chwili Kim przerwała milczenie. Z ulgą stwierdziła, że mówi w miarę normalnym głosem. - Czy nie wspominał pan o kolacji? Jestem głodna jak wilk.

- Ja także - przyznał. Podniósł się, wyciągnął rękę do Kim i pomógł jej wstać. Dotyk jego dłoni sprawił, że zadrżała. Co się z nią działo? Zachowywała się jak nie przymierzając nastolatka.

Mam już trzydzieści trzy lata i jako kobieta dojrzała nie powinnam podlegać takim emocjom, pomyślała o sobie z naganą.

Weszli do restauracji, która była o tej porze raczej pustawa. Dlatego udało im się dostać bardzo przyjemny stolik przy oknie, w bezpośrednim sąsiedztwie kominka.

- Większość żeglarzy przygotowuje sobie posiłki na pokładach swoich jachtów. - Kim rozejrzała się po sali. - Ja też tak robię. Chętnie rzucam kotwicę w pustych zatokach, gdzie jest o wiele spokojniej i sympatyczniej niż w portach.

Reynold zdziwił się. - Aż tak często żeglujecie pani samotnie?

- Nie tak często, jak pan myśli, ale zdarza mi się uciec na jacht, kiedy właśnie chcę być sama. Moje bliźniaczki mają teraz po dwanaście lat, a dziewczynki w tym wieku wymagają wiele serdecznej troski. Mam wprawdzie pomoc w osobie gosposi, ale i tak czasu mam zawsze za mało. Żeglowanie jest swoistą rekompensatą za bardzo stresującą pracę.

- Niech się pani cieszy, że ma rodzinę. Jest ona dla pani na pewno oparciem.

- Nie czytałam w prasie żadnych doniesień na temat pana prywatnego życia. - Kim zapragnęła nagle dowiedzieć się o nim czegoś więcej. - Jest pan żonaty? Ma pan dzieci?

- Byłem żonaty dawno temu. Moja żona zmarła. Nie mieliśmy dzieci. Jego oczy zaszkliły się łzami i Kim zrobiło się go strasznie żal.

Kochał, a jego miłość umarła. Musiał przeżyć ciężkie chwile. - Tak mi przykro... - szepnęła ze współczuciem.

Reynold ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. - To już przeszłość - powiedział łamiącym się głosem. - Gdy myślę o niej teraz, nie odczuwam już bólu, tylko wdzięczność. Będę o niej pamiętał do końca swoich dni, gdyż wywarła bardzo pozytywny wpływ na moje życie.

- Podobnie pamiętamy tych, którzy wywarli na nas wpływ negatywny - powiedziała Kim i zaraz się zawstydziała. Nie miała nigdy zwyczaju tak kierować rozmową. Zupełnie nie wiedziała, co w nią wstąpiło.

- Przepraszam, tak mi się jakoś wymknęło.

- Miała pani zapewne podstawy do takiego stwierdzenia, prawda?

- Było, minęło, to nie ma już żadnego znaczenia.

- Nie musi pani mówić nic więcej, jeśli nie ma pani ochoty na zwierzenia.

- To było przed ponad dwunastoma laty. Byłam wtedy w ciąży z dziewczynkami. Ich ojciec nigdy się o nie, nie zatroszczył.

- Rozumiem. Musiało pani być bardzo ciężko.

Kim spojrzała mu prosto w oczy. - Można znieść bardzo wiele, jeśli człowiek jest do tego zmuszony.

Reynold widział stanowczość w jej oczach i czuł bijącą od niej siłę. Był pełen podziwu dla kobiety, która sama wychowywała dwie córeczki, ciężko pracowała w swoim zawodzie, a na dodatek jeszcze wyśmienicie żeglowała.

Kelnerka przyjęła zamówienie na napoje. Kim przeprosiła Reynolda na chwilę i wstała od stołu. Czuła potrzebę bycia sam na sam ze swoimi myślami. Chciała je po prostu uporządkować. Poza tym czuła, że się czerwieni, gdy patrzył na nią spod swoich krzaczastych brwi.

W toalecie najpierw spryskała twarz zimną wodą, a potem weszła do kabiny, żeby poprawić rajstopy. W tym momencie do toalety weszły dwie młode dziewczyny. Rozmawiały ze sobą swobodnie, nie przypuszczając widocznie, że ktoś może być w kabinie.

- Jak myślisz, kiedy tam dotrzemy?

- Wszystko jedno. Najważniejsze, że nieźle się zabawimy. Wkroczymy odpowiednio wcześniej i zrobimy wielkie BUM! - Obie dziewczyny roześmiały się głośno.

- Może ci aroganccy reporterzy wreszcie się nami zainteresują. Zignorowali przecież kompletnie nasz protest przeciwko broni jądrowej. Nikł się nie pojawił na naszej demonstracji w zeszłym tygodniu w Bangorze.

- Teraz będą musieli nas wysłuchać. Nie zostawimy im wyboru.

- Szkoda tylko, że wybuchy zniszczą tak wiele pięknych miejsc.

- A dobrze im lak! Niech się nie wylegują w słońcu, tylko biorą za porządną pracę.

Dziewczyny zaczęły teraz szeptać między sobą i Kim nie mogła już rozróżnić słów. Zrozumiała jednak, o co chodzi. Te beztrioskie panienki planowały serię zamachów bombowych. Tak wiele pięknych miejsc...

O jakie to miejsca mogło chodzić?

Kim szybko wyszła z kabiny. Zdążyła jeszcze zobaczyć twarz jednej z dziewczyn. Zamykały właśnie za sobą drzwi. Tak, ona była na jachcie-kolosie, który przysporzył Kim tylu kłopotów.

Reynold zdziwił się zmianą, jaka w niej zaszła.

- Czy pani źle się czuje? Tak pani pobladła...

- W toalecie podsłuchałam taką oto rozmowę. - I Kim powtórzyła Reynoldowi wszystko, o czym mówiły dziewczyny.

Ściągnął brwi. - Ma pani rację, ich knowania mogą okazać się groźne.

- Jest tu chyba jakiś szeryf na tej wyspie, nie sądzi pan? Reynold wstał nagle. - Proszę tu zostać, napić się trochę wina i uspokoić się. Zobaczę, co się da zrobić.

Wrócił po pół godzinie, wyraźnie niezadowolony. - Policja tutejsza niezbyt przejęła się moim doniesieniem. Wysłuchali mnie tylko, ale obawiam się, że nie zrobią nic, aby zapobiec nieszczęściu.

- Co jeszcze możemy zrobić?

Wzruszył ramionami. - Chyba niewiele. Przynajmniej nie stąd. Zapowiedzieli wprawdzie, że dadzą znać innym wyspom, ale nie wydawali się specjalnie zaniepokojeni. - Sięgnął ręką przez stół i pogładził ją po ręce.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Przeraza mnie nasza bezsilność, Reynold. Przypuśćmy, że na którejś z tych wysp podłożą bombę. Roi się tu przecież od Boga ducha winnych turystów. Ileż tu dzieci! - Kim pokręciła głową zdenerwowana.

- Ci gówniarze wybrali się pewnie w rejs jachtem swoich rodziców i czują się bezkarni. Często zdarza się, że młodzi ludzie rozładowują swoją frustrację w tak agresywny sposób. Chcą zwrócić na siebie uwagę mediów, a przede wszystkim rodziców. Dorośli pracują tak ciężko, że nie starcza im czasu dla własnych dzieci. Pełna lodówka i najnowszy sprzęt to jeszcze nie wszystko. Myślę, że chcą przeciw czemuś zaprotestować, ale tak naprawdę sami nie wiedzą, przeciwko czemu. Chcą się po prostu znaleźć w centrum zainteresowania. Być może wynika to z nudów, być może nie mają lepszego pomysłu na życie. Trzeba ich powstrzymać, Reynoldzie, zanim będzie za późno.

- Niech pani już przestanie o nich myśleć, Kim. Chwilowo nie możemy nic zrobić.

- Ma pan rację. To był bardzo długi dzień i muszę przyznać, że jestem bardzo głodna. Uważam tylko, że nie można było ich zlekceważyć. Być może jestem zresztą zbyt pesymistycznie nastawiona do dzisiejszej młodzieży.

- Mnie to nie przeszkadza, Kim - Reynold spojrzał jej głęboko w oczy. - Uważam, że jest pani piękną i bardzo inteligentną kobietą. W dodatku niezwykle dynamiczną.

Kim zaczerwieniła się znowu pod wpływem tych zupełnie nieoczekiwanych komplementów. - Nic dziwnego, że media wynoszą pana pod niebiosa. Znajduje pan odpowiedź na każde pytanie.

- Ja zaś uważam, że media by mnie najchętniej ukrzyżowały, gdyby tylko miały taką możliwość. Na razie nie daję im po temu okazji.

- Zabrzmiało to tak, jakby miał pan kłopoty z dziennikarzami.

- Nie jest aż tak źle, z kilkoma nawet się przyjaźnię, ale większość z nich to tylko poszukiwacze sensacji. Nie interesują się zbytnio skutkami swojej pisaniny. Gdyby któryś z nich zobaczył mnie tu na wyspie w towarzystwie jakiejś atrakcyjnej kobiety, skorzystałby z okazji i spłodził do swojej gazety pasjonujący reportaż o senatorze z Montany wypoczywającym ze swoją kolejną flama. Takie doniesienie zaszkodziłoby z pewnością mojej karierze. Ludzie bardzo wierzą pisanemu słowu. Niestety!



Kim spojrzała na niego zaskoczona. Nagle pomyślała o swoich córkach. Do tej pory nie powiedziała im, że są nieślubnymi dziećmi. Co stałoby się z nimi, gdyby jakiś nadgorliwy reporter podał tę informację do wiadomości publicznej?

Powiedzmy, że jakiś wściekły paparazzi wyłowił ich swoim obiektywem. Znany polityk na kolacji z lekarką. Zdjęcia ukazują się w prasie. Reporterzy zaczynają węszyć, kim jest towarzyszką Burnsa. Grzebią w jej przeszłości, wywlekają wszystko na światło dzienne.

Kim nerwowym ruchem sięgnęła po swój kieliszek i wypła porządny łyk wina.

- Jak się panu udało uchronić swoje prywatne życie przed natarczywością reporterów? - spytała Reynolda.

- Nie odpowiadałem na żadne pytania i nie afiszowałem się z nikim.

- Chce pan przez to powiedzieć, że w pana życiu nie ma nikogo specjalnego? - spytała Kim i zaraz szybko dodała: - Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

- Nie szkodzi, przy okazji zrewanżuję się pani podobnym pytaniem. Odpowiem pani - nie, w moim życiu nie ma nikogo. Prasa już się o tym dowiedziała i dlatego ogranicza się tylko do mojej właściwej działalności.

- Która jest na pewno bardzo zajmująca, ale i stresująca, zwłaszcza że zbliża się termin nowych wyborów.

- Tak, te wybory będą dla mnie próbą sił. Mój rywal pochodzi z bardzo bogatej rodziny i ma niesłychane koneksje oraz wielkie wpływy.

Kim spojrzała na niego z uwagą. - Ciekawa jestem jego stosunku do nowej ustawy.

Reynold roześmiał się. - Ten facet jest tak młodym i niedoświadczonym człowiekiem, że zapewne nie wysłuchałby nawet pani argumentów.

Przywołał kelnerkę, zamówił jeszcze butelkę wina, po czym przechylił się przez stół i zajrzał Kim w oczy.

- Mam wrażenie, że poświęciliśmy już wystarczająco dużo czasu temu tematowi, nie sądzi pani?

Kim nie wytrzymała jego wzroku. Spuściła oczy i powiedziała zrezygnowana: - Okay, zajmijmy się teraz ważniejszymi sprawami. Co będziemy jedli?

Reynold wybrał z karty dań łososa w sosie z krewetek, Kim natomiast zdecydowała się na pieczone ostrygi.

Oboje byli zadowoleni ze swojego wyboru. Dania były świeże i odpowiednio przyprawione. Podczas posiłku Kim opowiedziała Reynoldowi o

swoich córeczkach. - Samotne wychowywanie dzieci bywa czasami uciążliwe, ale już teraz mogę powiedzieć, że mój trud nie poszedł na marne. Bardzo się kochamy.

- Czy w pani życiu jest jeszcze ktoś?

- Nie, jeśli ma pan na myśli jakiegoś mężczyznę.

- Właśnie o to mi chodziło - powiedział Reynold i znowu spojrzał jej w oczy takim jakimś szczególnym spojrzeniem.

Patrzył na nią tak długo, że w końcu musiała odwrócić wzrok, czerwieniąc się oczywiście.

Na zakończenie kolacji zamówili kawę. Rozmawiali dalej na najróżniejsze tematy. Kim czuła się doskonale; odprężona, wypoczęta błyskotliwie prowadziła konwersację.

Reynold uregulował rachunek, wstał i zasunął krzesło za Kim. - Odprowadzę panią do portu — zaproponował. Ujął ją pod łokieć i wyprowadził z lokalu.

Na dworze owiało ich zimne nocne powietrze. Kim zadrżała z zimna. Reynold zareagował natychmiast. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, co sprawiło, że natychmiast ogarnęła ją fala ciepłego podniecenia.

Na niebie wisiał sierp księżycy, a wiatr niósł od morza dobrze znajomy zapach, który Kim tak bardzo lubiła. I jeszcze to silne męskie ciało obok... Nie wiedziała, czy złożyć na karb wypitego wina to, że zupełnie nie potrafi myśleć.

Reynold zwolnił kroku. Zbliżali się już do „Montrail”.

- Dziękuję za piękny wieczór, Reynoldzie - Kim wyciągnęła do niego rękę.

- Dla mnie był on cudowny - odparł półgłosem.

- Jutro rano wypływa pan zapewne ze swoją grupą na połów, prawda? Życzę wielu dorodnych łososi.

- Ja będę łowił rybki, a pani będzie ścigać młodocianych zamachowców - roześmiał się głośno.

- Na pewno pójdę na policję w najbliższym porcie.

- Wobec tego cieszę się, że mogłem pani troszeczkę pomóc w uratowaniu świata.

- Proszę pamiętać, że kobiecie, która ma tak ważną misję do spełnienia, nie wolno wchodzić w drogę - zażartowała Kim.

Reynold cały czas trzymał jej dłoń w swojej. Nie spuszczać z niej wzroku, powoli przyciągnął ją do siebie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i na krótką chwilę położyła głowę na jego muskularnej piersi.

- Marzyłem o tej chwili - szepnął. - Tak bardzo chciałem cię znowu przytulić...

Kim pogładziła go delikatnie po karku. Podniosła głowę i w mdłym świetle latarni portowych spojrzała mu w oczy. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie pluskiem fal o burty jachtów.

Reynold patrzył na nią tak, że już samo spojrzenie wystarczyłoby za pieszczotę. Nieskończenie powoli, jakby rozkoszował się każdą sekundą, pochylił się nad Kim i dotknął wargami jej ust. Całował ją najpierw delikatnie i czule, potem coraz mocniej i pożądliwiej.

Kim odwzajemniła ten dziki pocałunek z równą namiętnością. Zakręciło jej się w głowie, ale tym razem wiedziała dobrze, że to nie sprawa wina. Bliskość tego mężczyzny obudziła w niej uczucia, o których istnieniu dawno już zapomniała.

Nie czuła zimnych podmuchów wiatru, nie wiedziała nawet, że rozwiewa jej włosy. Nagle rozległo się w pobliżu przeraźliwe miauknięcie kota. Oskoczyli od siebie przerażeni.

- Umocujmy lepiej jacht. Mam wrażenie, że będzie niezła wichura - powiedział Reynold.

Kim weszła na pokład „Montrail”. Rzuciła Reynoldowi linę, a ten umocował ją z niezwykłą zręcznością wokół pachoła. Skończył już, gdy nagle silna fala rzuciła jachtem o mur nabrzeża. Kim straciła równowagę i poleciała na burzę.

Jednym skokiem Reynold znalazł się przy niej. Z niewielkiego skaleczenia na palcu wskazującym kapłała krew.

- Chodźmy do kabiny. Trzeba założyć opatrunek - zakomenderował. Sprowadził Kim po schodach i rozejrzał się.

- Apteczka jest z przodu kabiny - powiedziała. - Ale to naprawdę zbyteczne, Reynold. Krwawienie zaraz ustanie.

- Koniecznie trzeba zdezynfekować ranę i zabandażować ją - sprzeciwił się. Kim uśmiechnęła się pod nosem, ale w gruncie rzeczy bardzo spodobała jej się ta jego troskliwość.

Siłą posadził ją na ławce. - Nigdy wprawdzie nie opatrywałem rany lekarce, ale postaram się jak najlepiej wywiązać z tego zadania.

Kolejne uderzenie wiatru zakołysało jachtem, lampa zawieszona u sufitu zakołysała się niebezpiecznie i zaczęła mrugać.

- Nie byłoby lepiej, żebyś się podłączyła do portowego prądu? - spytał Reynold.

- Nie, to zbyteczne. I tak mam zamiar zaraz się położyć.

- Gdzie pozełglujesz jutro?

- Jeszcze nie wiem. - Kim przypomniała sobie w tym momencie, że jedna z dziewczyn podała nazwę San Juan. Zapomniała jednak natychmiast o smarkaczach podróżujących z bombą przez świat, bo Reynold wziął ją właśnie za rękę.

- Jestem bardzo szczęśliwy, że cię spotkałem - szepnął.

Kim tylko skinęła głową. Nie mogła mówić. Wzruszenie odebrało jej głos.

Załoczył nad wyraz wprawnie bardzo porządny opatrunek i usiadł koło Kim na ławce.

Spojrzenia ich spotkały się znowu i jak na dany sygnał zaczęli się nawzajem rozbierać.

Opalona na brąz skóra ich ciał załśniła w ciepłym blasku lampy. Gładzili się po nagich plecach, a usta ich spotkały się w długim namiętym pocałunku.

Stali teraz nadzy przed sobą. Kim z zachwytem patrzyła na świetnie zbudowane ciało mężczyzny.

Reynold objął ją znowu. Przesunął dłonią po jej udach, po jej płaskim brzuchu i dotarł do piersi. Różowe brodawki wyprężyły się natychmiast pod czułym dotykiem. A gdy zaczął masować i ugniatać jej krągłe piersi, Kim jęknęła. Była podniecona jak nigdy w życiu.

Przywarła do niego całym ciałem, rozpalonym namiętnością. Bez przerwy gładziła plecy Reynolda, zadziwiona ich gładkością.

On zaś cały czas szeptał jej imię. Pociągnął ją na podłogę wyłożoną miękką wykładziną. Czuł, że dłużej już nie wytrzyma tego napięcia.

Wszedł w nią delikatnie, ale już po chwili zaczął się w niej poruszać coraz szybciej i szybciej.

Kim dopasowała się do jego szalonego rytmu. Zarzuciła mu swoje szczupłe nogi na plecy i oddała się porywającemu uniesieniu.

Wspólnie dotarli na szczyt rozkoszy, który dla Kim był tak cudownym doznaniem, że omal nie zemdląła.

Długo leżeli wtuleni w siebie, nie mówiąc ani słowa.

Reynold pierwszy przerwał milczenie. - Pani jest cudowna, pani Perkins - szepnął.

- To samo mogę powiedzieć o panu, senatorze Burns.

- Nie mów tego głośno, bo prasa się dowie - zażartował. Roześmieli się oboje. Było im dobrze ze sobą! Kim wtuliła się w silne ramiona mężczyzny i nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła.

Obudziły ją promienie słońca wpadające do kabiny przez bulaje.

Poruszyła się. Reynold wyczuł to natychmiast i przytulił ją do siebie. Kim otarła się swoim ciałem o muskularne ciało mężczyzny. Natychmiast wyczuła, że jest podniecony.

Przesunęła dłońmi wzdłuż jego torsu i niżej, tam gdzie ogniskowało się pożądanie.

Jęknął zachwycony tą nieoczekiwaną pieśzczotą. Kim zaś poczuła coś na kształt triumfu. Już tak dawno nie czuła się kobietą. Ostatnie godziny zrekompensowały jej to z nadatkiem.

Tym razem kochali się dłużej i nie tak gwałtownie, jak przedtem. Dużo czasu poświęcili grze wstępnej, podziwiając i poznając swoje ciała oraz napawając się ich pięknem.

Kiedy wreszcie podniecenie obojga sięgnęło zenitu, rzucili się na siebie z gorączkowym wyczekiwaniem.

Kim leżała potem pod ciepłą kołdrą, którą Reynold skądś wytrzasnął. Wdzięczna mu była za to, że tak bardzo o nią dbał. On w tym czasie robił śniadanie. Ach, życie było piękne!

- Dziś rano ma przyjść zamówiony przeze mnie mechanik, żeby zreperować silnik - powiedziała ziewając.

- Mamy jeszcze kupę czasu - oświadczył Reynold patrząc na zegarek. - Jest dopiero po piątej.

Kim również spojrzała na zegarek. - Ależ, Reynold, u mnie jest już po ósmej. Twój zegarek na pewno stanął! - zawołała przerażona. - Spóźnisz się na spotkanie z rybakami!

- Ojej! - Reynold również się przeraził. - Statek miał wypłynąć o ósmej. Płyniemy do Orcas Island, gdzie mam wygłosić przemówienie w Klubie Rotariańskim. - Szybko zebrał swoje rzeczy, ale w pewnym momencie zatrzymał się i spojrzał na Kim. - Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła? - spytał.

Pokręciła głową z uśmiechem. - Oczywiście, że nie, Reynold. Z natury jestem dość wyrozumiała. Ja też muszę się już ubrać, jeśli nie chcę, żeby mechanik zastał mnie nagą.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć znowu. Jak mógłbym się z tobą skontaktować?

- W południe i o szóstej po południu przełączam się na kanał dwudziesty, żeby mieć łączność z domem.

- Skorzystam z tej możliwości - uśmiechnął się Reynold.



## Rozdział 4

Tego dnia niebo było zachmurzone. Tylko niekiedy słońcu udawało się przedrzeć przez gęste chmury. Wiatr wydymał żagle „Montrail”, a jej dziób pruł szmaragdowo-błękitne wody San Juan w kierunku Friday Harbor na wyspie San Juan.

Kim nie miała zaplanowanej marszruty, żeglowała tam, gdzie jej przyszła ochota. Teraz jednak, pamiętając stale o zepsutej młodzieży, która zamierzała dokonać zamachu bombowego, postanowiła popłynąć na San Juan i rozmówić się z celnikami z wyspy.

Zimna bryza owiała jacht, a na ciemnych falach pojawiła się piana, gdy stwierdziła, że jest już pora obiadu. Dotychczas wcale nie odczuwała głodu, ale teraz czuła, że powinna coś zjeść chociażby z rozsądku. Postanowiła, że pójdzie na obiad do jakiejś restauracji w porcie na wyspie.

Cały czas myślała o Reynoldzie, cały czas miała przed oczami jego smukłą sylwetkę, cały czas czuła na sobie dotyk jego dłoni...

Nie miała pojęcia, co będzie dalej, i nie chciała sobie zaprzętać tym głowy.

Reynold był politykiem, znajdował się w centrum zainteresowania opinii publicznej. Gdyby jakiś reporter zainteresował się ich związkiem, ucierpiałaby na tym nie tylko kariera Reynolda, ale i ona sama, jak również jej córeczki.

Nie zmieniało to faktu, że tęskniła za nim już od chwili, w której zszedł z jachtu. Bardzo pragnęła znowu spotkać się z nim.

Kiedy Friday Harbor pojawiło się na horyzoncie, Kim zluzowała fok, aby nie odrzucał jachtu od wiatru, i zręcznie podeszła do kei. Wytraciła szybkość luzując grot. Podała cumę jakiemuś młodemu człowiekowi, jeszcze zanim jacht się zatrzymał. Młodzieniec przymocował jacht do nabrzeża.

- Jak długo tu pani zostanie? - spytał.

- Jeszcze nie wiem, być może do jutra - odparła.

Zeszła pod pokład, gdzie przebrała się w niebieskie spodnie oraz pulower w tym samym kolorze. Na rozpuszczone włosy włożyła czapkę. Oczywiście także niebieską.

Zaraz potem udała się do urzędu celnego. Chciała już wejść do budynku, gdy nagle usłyszała za sobą znajomy głos.

Był to Reynold. Zaczerwieniła się na jego widok. Serce jej zaczęło bić jak oszałałe.

- Nie myślałam, że cię tu spotkam - powiedziała nieswoim głosem.

- Byliśmy właśnie na Orcas Island, gdzie wygłosiłem przemówienie, a potem usiłowałem skontaktować się z tobą przez radio. Niestety, sztuka ta nie udała mi się.

Kim plasnęła dłonią w czoło. - Zapomniałam włączyć krótkofalówkę. Przepraszam cię, Reynoldzie.

- Chciałem ci powiedzieć, że płyniemy do Friday Harbor, i zapytać, czy moglibyśmy się tu spotkać. Jeden z członków naszej grupy uparł się, aby tu przyjechać, i dlatego przedłużyliśmy wyprawę o cały dzień.

- Okay, możesz więc iść ze mną od razu do urzędu celnego. Chcę poinformować urzędników o tych młodych ludziach.

- Ale przyrzeknij, że potem pójdziemy razem coś zjeść - zażądał. Kim uświadomiła sobie dopiero teraz, że od śniadania nie miała nic w ustach. - Chętnie - zgodziła się natychmiast.

Kim przekazała urzędnikom wszystko, czego się dowiedziała o planowanym zamachu. Odniosła jednak wrażenie, że nie wzięli poważnie jej relacji. Zapowiedzieli wprowadzić, że zainteresują się tą sprawą, ale zabrzmiało to tak jakoś bez przekonania. Dla uspokojenia swojego sumienia Kim przekazała im jednak dokładną charakterystykę młodzieży znajdującej się wtedy na jachcie.

Kiedy wyszli z urzędu, zaczęło siąpić. Postanowili wejść do pierwszego lepszego lokalu, którym okazał się snack-bar.

Zajęli stolik przy oknie i zamówili po piwie i hamburgerze.

- Czy wie pan, panie senatorze, że nie poznał pan jeszcze ustawy od mojej strony? - spytała Kim z uśmiechem.

Reynold skrzyżował ręce na piersiach i powiedział: - Okay, strzelaj. Jestem szczególnie wyczulony na problemy obywateli mojego kraju.

- Na tym polega pańska działalność, panie senatorze - powiedziała żartobliwie.

- Proszę cię, mów do mnie Reynold, to brzmi znacznie sympatyczniej.

Kim uśmiechnęła się znowu, potem jednak spoważniała. Lubiła lekki ton rozmowy, jakim się zazwyczaj posługiwali, ale ta sprawa zasługiwała na większą powagę.

- Posłuchaj, Reynoldzie. Rząd założył wszystkim lekarzom kajdanki, ustalając określone normy na poszczególne choroby. W praktyce każdej chorobie została przypisana określona liczba dni, której nie można przekroczyć. Przecież to czysty nonsens. Nie można do wszystkich pacjentów przykładać takiej samej miary. Człowiek to nie maszyna, a indywidualne reakcje są bardzo zróżnicowane. Często zdarza się, że leczenie trwa dłużej,

niż to zakłada ustawa. Za „nadprogramowy” pobyt w szpitalu pacjent powinien w myśl ustawy płacić z własnej kieszeni, a nie wszystkich na to stać.

- Dobrze wiesz, dlaczego rząd sięgnął po ten środek - odparł Reynold poważnie. - Coraz więcej lekarzy przedłużało ponad miarę pobyt swoich pacjentów w szpitalu, ordynowało zbędne testy, zapisywało zbyt wiele lekarstw. W ten sposób nabijali sobie kabzę i zapełniali kasę swojego szpitala.

- Ależ, Reynoldzie, nie możesz nam tego zarzucać. Czy tobie nie zależałoby na możliwie najlepszej opiece medycznej, gdybyś zachorował?

- Nie o to przecież chodzi.

- Ależ tak, chodzi właśnie o to. Pomysłodawcy ustawy nie wzięli pod uwagę zdrowia pacjentów.

- Dzięki ogromnemu postępowi w dziedzinie medycyny ludzie żyją obecnie dłużej niż kiedyś, chorują zaś wprawdzie rzadziej, ale jeśli już zachorują, to trwa to znacznie dłużej i pochłania znacznie więcej kosztów niż kilkanaście lat temu.

- Czego więc oczekujesz od nas, lekarzy? Czy mamy pozwolić umierać pacjentom, którzy osiągnęli pewien wiek? Mamy im może powiedzieć, że nie zapiszemy im żadnych lekarstw, ponieważ są za starzy? - Kim walnęła pięścią w stół, a jej oczy zabłysły gniewem.

Reynold pokręcił głową. - Czy ty czasem nie przesadzasz? Kim odetchnęła głęboko i kiwnęła głową. - Okay, masz rację, ale spróbuj mnie o tym przekonać.

- Wiem, że ustawa rządu wywołała sporą burzę w waszym środowisku. Musicie składać wyjaśnienie przed specjalną komisją, jeśli pobyt pacjenta w szpitalu przekroczy ustaloną liczbę dni. Zdaję sobie sprawę z waszych problemów, uwierz mi, Kim.

Kim odetchnęła z ulgą. Poprzednio zareagowała chyba zbyt ostro.

- W naszej dyskusji nie możemy jednak pominąć tego, że wielu lekarzy wzbogaciło się na swoich pacjentach.

Kim spuściła wzrok. - Wiem, że zdarzyły się takie przypadki - szepnęła - ale jesteśmy tylko ludźmi i nie mów mi, że w innych zawodach jest inaczej. Mogę cię zapewnić, że wykonuję swą pracę z największym oddaniem i każdego dnia obserwuję, jakie konflikty powoduje ta ustawa.

Kim miała już tego wszystkiego dosyć. Znowu się zaperzyła, a na urlopie chciała przede wszystkim oszczędzić sobie zdenerwowania. Zapragnęła wrócić na jacht.

- Muszę wrócić do portu, żeby przestawić jacht w inne miejsce.

- Ale nie chcesz chyba jeszcze wypływać na morze? Nie omówiliśmy przecież wszystkich problemów.

- Nie widzę powodu, aby tu dłużej pozostawać.

- Myślałem, że umówimy się na kolację... - zawiesił głos.

- Nie widzę dla nas przyszłości - powiedziała Kim wierząc się nerwowo. - Pochodzimy z dwóch różnych światów. - Patrzyła w dół, a palce jej bębniły machinalnie w blat stołu.

Reynold spojrział na nią uważnie. - Nie chcę, żebyśmy się rozstali w ten sposób. - Ta kobieta zajęła jego myśli tak bardzo, że nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Nie mógł pozwolić jej odejść.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Nie wiem, co w tej chwili do ciebie czuję, Kim, ale wiem na pewno, że nie mogę cię stracić.

Zabrała rękę i po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzała mu w oczy. - Łączy nas tak niewiele, że nasz związek nie miałby szans.

Nie mogła mu przecież opowiedzieć o tym niechlubnym fakcie ze swojej przeszłości, który mógłby mu zrujnować karierę. Nie mogła i nie chciała wciągać do tej historii swoich dziewczynek.

- Myślisz, że to naprawdę takie ważne? Czy nie moglibyśmy zostawić pracy na boku i po prostu zaprzyjaźnić się ze sobą?

- Jestem gotowa spróbować - odparła z uśmiechem. Zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć Reynoldowi prawdę.

## Rozdział 5

W milczeniu doszli do jachtu. Reynold wsadził ręce w kieszenie spodni i wystawił twarz na wiatr.

- Chętnie żeglujesz w taką pogodę? - spytał, gdy byli już na kei.

- Nie bardzo, zwłaszcza jeśli jestem sama. Wiatr może się nawet w lecie bardzo nasilić.

Reynold zatrzymał się. - A może przyjęłabyś mnie na majtka? - spytał niby żartem, ale w gruncie rzeczy poważnie.

- Czemu nie? - uśmiechnęła się.

Wziął ją za rękę i jak para dzieciaków pobiegli na jacht. Z pokładu Kim zawołała do chłopaka, który przydzielał miejsca na nabrzeżu: - Wrócimy tu jeszcze na nocleg.

- Z portu wypłyniemy na silniku, a żagle postawimy później - oznajmiła Reynoldowi.

Przy odchodzeniu od kei jest zawsze tyle roboty, że Kim nie miała czasu na zbędne słowa.

Dopiero gdy wzięli kurs na otwarte morze, znalazła chwilkę dla swojego towarzysza.

- Czy mógłbyś potrzymać rumpel? Chciałabym zrobić nam kawy.

- Z największą przyjemnością - skłonił się szarmancko.

- Musisz go trzymać tak, żeby płetwa sterowa była skierowana na Shaw Island. Widzisz wyspę na horyzoncie?

- Tak jest, pani doktor, kurs na Shaw Island - powtórzył komendę. Kim zaparzyła kawę, przelała ją do termosy w kształcie dzbanka, wyjęła z szafki paczkę biszkoptów i zaniósła wszystko do kokpitu.

- Dobra, teraz możemy postawić żagle. Musisz postawić „Montrail” w osi wiatru i czekać na mój sygnał.

- Mam więc zrobić zwrot przez sztag? - dopytywał się Reynold.

- O, widzę, że znasz się trochę na żeglarstwie - ucieszyła się Kim.

- Tak, właśnie o to mi chodziło.

- Ster na nawietrzną! - zakomenderowała.

- Jest, ster na nawietrzną! - odkrzyknął Reynold radośnie.

Kim wyczekała moment, w którym fok przestał pracować, i wyluzowała jego szot. Fok łopotał w osi wiatru. Jacht znalazł się w osi wiatru. Gdy fok doszedł do zawietrznych want, Kim wybrała jego zawietrzny szot.

- Sternik odpadać! - padła kolejna komenda pod adresem Reynolda.

- Jest, odpadać! - zgodził się potulnie senator z Montany.



- Dość odpadać, tak trzymać!  
 - Jest, dość odpadać, tak trzymać!  
 - No, udało się - pochwaliła Kim swego załoganta. W nagrodę poczęstowała go kawą i biszkoptami.

- Zawsze interesowałem się żeglarstwem, mimo że wychowałem się w górach.

Pożeglowali jeszcze wzdłuż wschodniego wybrzeża Tum Island i o zmroku powrócili do Friday Harbor.

- Mam dla pani wiadomość z urzędu celnego, pani doktor - zawołał z kei młody człowiek.

- Powiedzą nam pewnie, że zatrzymali tych smarkaczy - szepnął Reynold. - Znacząłoby to, że twoje starania przyniosły pożądane rezultaty.

- Pójdiesz ze mną? - spytała.

- Oczywiście, nie mogę cię przecież zostawić samej.

- Cieszę się, że już państwo wrócili. Witam pana, senatorze Burns, i panią, doktor Perkins — urzędnik wyszedł do nich zza biurka.

- Chciałem państwa poinformować, że tych młodych ludzi widziano na Roche Harbor. Przymuszczałnie będą tam nocować.

- Czy można było stwierdzić, co zamierzają? - spytała Kim.

- Nie mamy, niestety, żadnych dowodów. Jedyne, co możemy w tej sytuacji uczynić, to poddać ich obserwacji. Będziemy obserwować zarówno jacht, jak i jego załogę.

Kim i Reynold podziękowali za zainteresowanie się ich doniesieniem, pożegnali się z urzędnikiem i wyszli na dwór.

Reynold otoczył ją ramieniem i spytał ciepło: - O czym teraz myślisz?

- Mam złe przeczucia, Reynoldzie. Intuicja podpowiada mi, że coś się stanie.

- Uważasz, że powinniśmy jeszcze coś zrobić?

- Chyba tak. Słyszałeś, co powiedział celnik. Będą mieli tę dzieciarnię na oku, ale nic więcej nie zrobią.

- Dzieciarnia to chyba niezbyt właściwe określenie. Mają już chyba po osiemnaście, dziewiętnaście lat.

- Tak, są już dorośli, ale nie dość dojrzały, aby w pełni zdać sobie sprawę z konsekwencji tego, co zamierzają zrobić. Musimy zapobiec nieszczęściu, panie senatorze.

- Co konkretnie mielibyśmy uczynić?

- Popłynę na Roche i postaram się dowiedzieć, co planują.

- Teraz, w nocy? - przeraził się Reynold. - Przy tym wietrze?

- Czemu nie? Nie po raz pierwszy będę żeglować w taką pogodę. Chociaż nie, nie postawię żagli. Popłynę na silniku. Powinno mi to zająć około dwóch godzin.

- Popłynę z tobą - powiedział Reynold spontanicznie. Widząc zdziwienie w oczach Kim, dodał: - Jeśli mnie ze sobą weźmiesz, naturalnie.

- Nie mam nic przeciwko temu, nawet będzie mi przyjemnie, ale co z twoją grupą i połowem?

- Nie przypuszczam, żeby za mną tęsknili, poza tym mogę do nich dolecieć później. Chcę być z tobą.

- Wiesz, że nie musisz. Nie bardzo wierzysz w moją teorię, a ja nie chciałabym cię do niej przekonywać.

- Popłynę z tobą na wszelki wypadek.

- Jaki wszelki wypadek masz na myśli?

- Ach, Kim, wszystko przecież może się zdarzyć. Dobrze, żebyś miała przy sobie mężczyźną.

- No, to chodź, mężczyzno, na pokład i startujemy!

- Nie tak szybko, pani doktor - zaprotestował. - Muszę zabrać swoje bagaże i powiedzieć mojej grupie, że chwilowo rezygnuję z jej usług. Będę za kwadrans.

Kim zeszła do kambuza, co przypomniało jej, że jest okropnie głodna. Wyjęła z szafki dwie puszki z mięsem, cebulą i ziemniakami, otworzyła je, a ich zawartość przełożyła do garnka, który ustawiła na kuchence gazowej.

- Co tu tak pięknie pachnie? - usłyszała głos Reynolda. - W kuchni mojej mamy też tak pachniało.

- To tylko konserwy. Reynoldzie. - Kim ukroiła dwie pajdy razowego chleba i zaprosiła gościa na kolację.

- Nawet najlepsi kucharze uciekają się czasem do pomocy konserw. A na jachcie jest to najzupełniej normalne - stwierdził. - Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami.

Oryginalne danie jednogarnkowe bardzo im smakowało. Popijali je kolejną butelką chablis.

Po kolacji wzięli kurs na kanał San Juan. Z kanału wypłynęli na północny przylądek San Juan.

Reynold sterował, a Kim siedziała obok niego, studiując mapę i wyznaczając kurs kompasem.

Objął ją wolną ręką, a ona przytuliła się natychmiast do niego. A gdy ją pocałował, zapomniała nie tylko o mapie i kompasie, ale o całym świecie.

Jacht zakołysał się nagle gwałtownie. Kim zerwała się na równe nogi i popędziła na dziób. Krzyknęła przerażona. Mimo ciemności dostrzegła skały sterczące groźnie o kilka zaledwie metrów od nich. W panice wróciła do Reynolda i pomogła mu wyprowadzić „Montrail” na spokojniejsze wody.

- Ojej, mogło już być po nas - powiedziała zdenerwowana.

- Lepiej będzie chyba, żebym to ja wykonał wszystkie manewry w porcie. Jesteś taka podenerwowana - przekomarzał się Reynold,

- I ty to mówisz! - oburzyła się. - Ty, który o mało nie wpakowałeś nas na skały!

- Przyznaj, że masz w tym swój udział - droczył się z nią nadal.

- Myślałam, że jako mężczyzna wykażesz się większym opanowaniem.

- Nawet najbardziej doświadczony wilk morski straciłby równowagę przy takiej pięknej dziewczynie.

- Musisz jednak pamiętać, że żeglowanie to nie zabawa. Jest to wprawdzie pewnego rodzaju rozrywka, ale rozrywka ryzykowna i momentami niebezpieczna, jak się właśnie miała okazję przekonać.

- Okay, kapitanie, poddaję się. Ty jesteś tu szefem. Kim roześmiała się. - Dobrze, że wreszcie to zauważyłeś. Przed nimi widać już było światła portu.

- Kim, czy na tej górze jest jakaś restauracja?

- Czyżbyś jeszcze był głodny? - zdziwiła się.

- Może nie tyle głodny, co spragniony. Chętnie napiłbym się kawy.

- Ja także. Muszę przyznać, że te skały napędziły mi strachu.

## Rozdział 6

Kim i Reynold usiedli naprzeciw siebie w częściowo tylko zapełnionym lokalu. Zamówili kawę i pili ją właśnie, gdy nagle uwagę ich zwrócił głośny śmiech, rozbrzmiewający z drugiego końca sali.

Kim odwróciła się i... zamarła. Zobaczyła bowiem właśnie tych młodych ludzi, których szukała. - Reynoldzie, spójrz, to oni!

On też ich już spostrzegł i szepnął: - Nie patrz na nich tak natarczywie. Wystarczy, że ja mam tę czwórkę na oku.

Kim spojrzała na niego z namysłem. - Słuchaj, możesz się jeszcze wycofać. Jesteś w końcu na urlopie, na którym miałeś nabrać sił przed zbliżającymi się wyborami.

- A ty? Czy zawsze twój urlop wygląda tak, że uganasz się za młodymi ludźmi, którzy chcą gdzieś podłożyć bombę?

- Nie, oczywiście, że nie, ale tym razem nie umiem postąpić inaczej. Reynold wziął ją za rękę. Znaczyła dla niego już tak wiele! Musiała przecież istnieć jakaś możliwość połączenia ich losów. On wprawdzie mieszkał i pracował w Waszyngtonie, ona zaś w Seattle, ale Amerykanie nie przywiązują się przecież do jednego miejsca na całe życie.

- Chcę ci pomóc, kochanie, ale tylko pod warunkiem, że i ty tego chcesz.

- Chcę, bardzo chcę - szepnęła z uśmiechem.

- Dobrze więc, zostanę z tobą, dopóki będziesz się bawić w detektywa, a może nawet dopóki nie spotkasz się ze swoimi córkami w Yictorii. Bardzo chciałbym je poznać.

Widział, że sprawił Kim wyraźną przyjemność. Zaplanowała długi weekend z bliźniaczkami, a potem chciała jeszcze pożeglować na Canadian Gulf Island. Tradycyjnie już organizowały sobie taki weekend w Yictorii. Anna Mac Kensie przywoziła zwykle dziewczynki, a sama odwiedzała przy okazji kuzynkę mieszkającą w tej okolicy.

- Nie odwracaj się tylko - głos Reynolda wyrwał ją z zamyślenia.

- Czwórka naszych podejrzanych wstała od stołu. Zaraz się stąd wyniosą.

Reynold rzucił banknot na stół i razem z Kim poszedł za młodymi ludźmi.

Wiatr przestał już tak silnie wiać, ale od morza ciągnęła zimna bryza. Reynold przytulił Kim czule. Znowu poczuła to oszałamiające podniecenie. Ach, żeby już wreszcie znaleźli się sami na jachcie.

Tymczasem grupka młodzieży szła w stronę portu, przekrzykując się i śmiejąc w zupełnie nieskrępowany sposób. Z jachtów odezwały się wzburzone głosy. Żeglarze nie lubili, gdy zakłócano im ciszę nocną.

Jeden z chłopców zatrzymał się nagle, żeby przypalić sobie papierosa. Reynold przytrzymał Kim za łokieć. Nie chciał zmniejszać dystansu. Chłopak osłonił płomień zapalniczki ręką, przypalił papierosa, a potem pokazał reszcie uniesioną do góry zapalniczkę. - Tak właśnie spalimy te przeklęte wyspy. - Cała czwórka roześmiała się, a drugi chłopiec wydał z siebie dźwięki naśladujące eksplozję bomby.

Kim drżała tak bardzo, że Reynold musiał ją mocniej przytulić.

- Będziemy ich obserwować całą noc ~ zapowiedział, żeby ją uspokoić.

- Ich jacht cumuje niedaleko „Montrail”.

- Najlepiej będzie, jak przenocujemy na pokładzie ~ powiedziała Kim. - To chyba najlepsze rozwiązanie.

Weszli na pokład „Montrail”. Reynold zajął natychmiast dogodnie do obserwacji miejsce przy relingu, Kim zaś postanowiła urządzić w miarę wygodne poślanie.

Wydostała z szafki w kabinie materace, poduszki i ciepły koc.

- Jest tak duży, że starczy chyba dla dwóch osób? - Reynold spojrzał jej głęboko w oczy.

RS



## Rozdział 7

Siedzieli przykryci kocem na pokładzie jachtu. Nasłuchiwali odgłosów śmiechu młodych ludzi. Tamci bawili się jeszcze w najlepsze. Kim podniosła wzrok i natrafiła na uważne spojrzenie Reynolda.

- Królestwo za twoje myśli - powiedział półgłosem.

Kim uśmiechnęła się tylko. Tak dobrze było siedzieć razem ramię w ramię, tak kojąca była świadomość, że on jest blisko.

- Kiedy zamieszanie na tamtym jachcie uspokoi się, wezmę swoje rzeczy i przeniosę się do tego małego hoteliku, który minęliśmy po drodze.

Co miała oznaczać ta propozycja? Kim czuła, że zainteresowanie Reynolda nią nie osłabło, a więc prawdopodobnie nie chciał się narzucać. Może powinna inaczej sformułować zaproszenie?

Szukała właśnie odpowiednich słów, gdy w ciszy nocy rozległ się warkot silnika.

- Kim, oni wypływają! - zawołał Reynold.

Zerwała się na równe nogi i uruchomiła silnik. Spojrzała z pewnym wahaniem na Reynolda.

- Nie myślisz chyba, że zostawię cię teraz samą - powiedział niby poważnie, ale w jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

- Twoja senatorska działalność nie rozciąga się na morze. Możesz zejść z pokładu.

Reynold nie odpowiedział. Zszedł na keję, odwiązał cumę, rzucił ją na pokład i zręcznie przeskoczył przez reling.

- Moja senatorska działalność nie ma tu nic do rzeczy - powiedział, ale tym razem Kim pominęła milczeniem tę uwagę.

Nie wynikało to bynajmniej z nieuprzejmości, była po prostu zbyt zajęta sterowaniem i rozwijaniem pełnych obrotów silnika.

Nawet jednak z maksymalną szybkością sześciu węzłów nie byli w stanie nadążyć za o wiele szybszym jachtem młodych ludzi. - Powinniśmy się cieszyć z tego, że mamy dobrą widoczność. W innych warunkach, deszczu czy mgły, dawno już stracilibyśmy ich z oczu - powiedziała Kim.

- Jak sądzisz, dokąd oni płyną?

Wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia. Nie ma tu w pobliżu żadnego portu, do którego mogliby zawinąć. Jeśli nie rzucą kotwicy w jakiejś zatoce lub nie zredukują prędkości, możemy zrezygnować z pościgu. Powinniśmy byli zawiadomić zarząd portu we Friday Harbor już wtedy, gdy spotkaliśmy ich w tamtejszym lokalu.

- Masz rację, szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej, bo teraz jest już za późno. Możemy jeszcze włączyć CB-radio i zaalarmować szeryfa. Jeśli będzie trzeba, wymyślę coś innego.

Kim odetchnęła z ulgą. Słowa Reynolda świadczyły o tym, że nie bagatelizuje problemu ewentualnego zamachu.

Ani na chwilę nie spuszczała tamtego jachtu z oczu i w pewnej chwili zauważyła, że odległość między „Montrail” a nim zmniejsza się.

- Skręcają do Garrison Bay - oznajmiła Reynoldowi. - Poczekamy, aż znajdą się w zatoce, i wtedy zajmiemy jak najdogodniejszą pozycję.

- Widzę, że topografię tej okolicy masz w małym palcu - stwierdził Reynold z podziwem.

- Często żeglowałam tu wspólnie z córkami. Kochamy te małe wysepki rozrzucone po oceanie. Niestety, niedaleko stąd znajduje się English Camp.

- Dlaczego mówisz o tym z takim zatroskaniem?

- Anglicy urządzili tu sobie kiedyś garnizon. Dzisiaj ma on już raczej charakter pomnika historycznego, ale był czas, kiedy Anglicy prowadzili ostry spór z Amerykanami o ustalenie granic. Odwołano się w końcu do neutralnego sędziego, który przyznał wyspę Ameryce.

- Myślisz, że ci młodzi ludzie obrali sobie właśnie tę wyspę za cel?

- Całkiem możliwe.

Kim odprężyła się nieco, gdy wpłynęli do zatoki i zobaczyli, że tamten jacht rzuca kotwicę. Pokierowała „Montrail” na plażę u wejścia do zatoki, skąd miała doskonały widok na obserwowaną załogę, sama kryjąc się za skałami, które tworzyły naturalny port pośrodku zatoki.

Kim rzuciła kotwicę i podeszła do Reynolda. - Tam się chyba coś zaczyna dziać - szepnęła.

Rzeczywiście, jedna z dwóch par zrzuciła do bączka dwa duże worki i sama do niego wsiadła.

- Czy English Camp jest właśnie gdzieś tutaj? - spytał Reynold.

- Nie - odparła. - Nie wiem, dlaczego płyną akurat tutaj na ląd. Reynold wstał. - Rozejrzę się - oznajmił. - Jeśli zauważysz coś podejrzanego, zagwiżdż. Umiesz chyba gwizdać, Kim?

Uśmiechnęła się rozbawiona. - Gwizdanie było pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłam na studiach.

Odwiązała linę małego bączka i rzuciła ją Reynoldowi. Zanurzył cicho wiosła w wodzie i po chwili zniknął za skałami.

Kim czekała na niego w nerwowym napięciu, obserwując jacht. Chwilowo nic się na nim nie działo, zupełnie jakby nikogo nie było na pokładzie. Może

ta druga para poszła spać? Kim ziewnęła rozdzierająco na myśl o śnie. Ona też była już śpiąca. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywała się przed zaśnięciem. Wokół panowała głęboka cisza.

Usłyszała Reynolda dopiero wtedy, gdy przybił bączkiem do „Montrail”. Rzucił jej linę, ona zaś podała mu rękę, żeby mu było łatwiej wejść na pokład.

- Nie musimy się chyba nimi przejmować - powiedział. - Myślę, że aż do rana będzie spokój. Para, która zeszła z pokładu, rozwinęła na plaży śpiwory i od dawna już śpi.

- Mimo to powinniśmy mieć się na baczności.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytał.

- Będziemy kolejno pełnić wachtę. Ja mogę być pierwsza. Reynold roześmiał się z tej gotowości. - Mnie się wcale nie chce spać.

Masz ochotę na kakao?

- Och, tak! - ucieszyła się. - Chętnie napiłabym się czegoś gorącego. Pięć minut później Reynold pojawił się na pokładzie z dwiema parującymi filiżankami. Usiadł koło Kim. Gdy tylko uda ich dotknęły się, poczuła znajome drżenie serca.

- Nie przypuszczam, żeby udało mi się zasnąć, gdy wiem, że ty nie śpisz - szepnął. - Chociaż, prawdę mówiąc, i ja zrobiłem się już senny. To pewnie zasługa tego słonego morskiego powietrza, do którego nie jestem przyzwyczajony. - Spojrzał na Kim uważnie. - Wolałbym jednak zostać z tobą na pokładzie.

Kim wiedziała, dlaczego. Mimo to powiedziała bardzo opanowanym głosem: - Prześpij się lepiej w kabinie, Reynoldzie. Dobranoc.

- Obudź mnie najpóźniej o północy. - Pochylił się nad nią, pocałował w usta i poszedł pod pokład.

## Rozdział 8

Plusk wiosła uderzających o powierzchnię wody wyrwał Kim z głębokiego snu. Otworzyła oczy niechętnie, potem jednak uświadomiła sobie, co robi w tej zatoce, i poderwała się błyskawicznie.

Na pokładzie zastała Reynolda, który uważnie wpatrywał się w tamten jacht. Przybijała właśnie do niego ta para, która nocowała na plaży.

- Musimy przygotować się do wypłynięcia — zakomenderowała Kim. - Na całe szczęście jest dziś taka mgła, że nie będą mogli pozwolić sobie na zbyt dużą prędkość.

Reynold patrzył na nią w niemym zachwycie. Nie wiadomo, czy w ogóle dotarł do niego sens jej słów. - Wczesnym rankiem wyglądasz zdecydowanie najładniej - stwierdził. - Dziś jesteś jeszcze ładniejsza niż wczoraj wieczorem.

Oczy Kim rozbłysły w świetle poranka. Reynold zauważył już przy pierwszym spotkaniu, że pani doktor jest nader urodziwą kobietą, potem zaś stale znajdował nowe argumenty dowodzące niezwykłości Kim. Jak troskliwie zajęła się wtedy rannym chłopcem! Z jakim pełnym poświęcenia zapalem starała się nie dopuścić do nieszczęścia, które tym wyspom zamierzali zgotować młodociani terroryści! Reynold czuł, że zaczyna kochać tę kobietę, tę piękną, mądrą i dobrą lekarzkę.

- Wcale mnie nie słuchasz - dotarł do niego pełen wyrzutu głos Kim.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Mówiłam, że sądząc z odgłosów dochodzących z jachtu wnoszę, że lada moment odbiją od kei. Zejdę na dół i przebiorę się szybko.

Wróciła na pokład w dżinsach i grubym swetrze i pociągnęła nosem. - Czyżbyś zaparzył kawę?

- Niestety, muszę cię rozczarować, Kim. Nie mogłem przecież zaniedbać swoich obowiązków. Ani na chwilę nie opuściłem stanowiska obserwacyjnego.

- Ale przecież wyraźnie czuję zapach kawy! Ach, ty kłamczuchu!

- Zaparzyłem ją nie spuszczając z oka tamtego jachtu. Poruszałem się na wycucie.

W tym momencie rozległ się warkot silnika jachtu-kolosa. Reynold skoczył prędko do kochera, wyłączył go, a kawę przelał do termosy. Kim otworzyła kłapę silnika.

- Uruchomię go dopiero wtedy, gdy nas miną. Nie chciałabym, żeby się domyślili, iż ktoś ich śledzi. - Sprawdziła poziom oleju i przygotowała „Montrail” do wypłynięcia w morze.

Schowali się do kabiny i przez bulaj patrzyli na mijający ich jacht.

- Mam nadzieję, że będzie się trzymał tej prędkości. Widoczność jest bardzo utrudniona z powodu mgły i nadmierna szybkość byłaby ze wszech miar nierozsądna.

Kim uruchomiła silnik. Trzymając już rumpel w dłoni, poczekała, aż Reynold podniesie kotwicę. Sekundę później „Montrail” wyłoniła się ze swojej kryjówki i popłynęła w ślad za jachtem młodzieżowców.

- Przejaśnia się - zauważyła Kim po chwili. - Przypuszczam, że mgła wkrótce opadnie. Zejdę teraz do kabiny i przygotuję nam śniadanie. Dasz sobie radę sam?

- Z taką nauczycielką na pewno - uśmiechnął się Reynold.

Po dziesięciu minutach Kim wróciła z tacą na pokład. Były na niej dwa talerze, sztuce i salaterka z jajkami usmażonymi na szynce. Ciemne pieczywo oraz sok pomidorowy uzupełniały owo wykwinne jak na warunki jachtowe śniadanie.

Mgła rzeczywiście opadła, ale na szczęście odstęp między oboma jachtami nie powiększył się.

Kim i Reynold zjedli z apetytem śniadanie, potem zaś wypili kawę, którą pan senator zaparzył wcześniej.

Z daleka dobiegł ich dźwięk bucza przeciwmgielnego, sygnalizujący wejście do Haro Strait. Kim zerknęła przez bulaj, czy kanał jest już widoczny, ale, niestety, jak okiem sięgnąć rozciągała się mgła.

- Nie wiem, na co się zdecydują - powiedziała Kim zamyślona.

- Ile mamy czasu? - chciał wiedzieć Reynold. - Zgłaszam gotowość posprzątania kabiny, kapitanie - zażartował.

Kim kiwnęła głową przyzwalająco. Odsunęła się nieco, gdy przechodził koło niej. Mimo to kolana ich zetknęły się. - Taki wąski jacht ma swoje zalety - zauważył Reynold z uśmiechem.

Ten czas, który Reynold spędził w kabinie. Kim wykorzystwała na zastanawianie się, jak będzie dalej z nią i z tym cudownym, przygodnie poznanym senatorem. Czy w ogóle będzie jakiś dalszy ciąg?

Pochodził z Montany, a większość czasu spędzał w Waszyngtonie. Jako senator był do tego zobligowany. Ona mieszkała i pracowała w Seattle, na przeciwległym wybrzeżu ich ogromnego kraju. Musiała też stale pamiętać o tym, że ma nieślubne dzieci. Gdyby informacja ta przedostała się na łamy prasy, Tracy i Megan mogłyby doznać istnego szoku. Kariera Reynolda uległaby poważnemu zagrożeniu.



Kim usiłowała znaleźć jakieś w miarę sensowne rozwiązanie, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa trzeba będzie zaliczyć ich znajomość do kategorii letnich przygód. Postanowiła, że nie może się w nim zakochać.

W celu odegnania złych myśli zawołała w stronę kabiny: - Hej, czy wyjdiesz jeszcze dzisiaj na pokład?

Reynold wystawił głowę na zewnątrz. - Spójrz, Reynoldzie, mgła już zupełnie opadła. Wiatr ją chyba przegnał.

Dołączył do niej. - Nie zamierzają chyba zmienić kursu, prawda? Co jest po drugiej stronie cieśniny, Kim?

- Półwysep Saanich, wychodzący z wyspy Vancouver.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak nadal płynąć za nimi.

- Zdaje się, że tak. Posłuchaj, Reynoldzie, przejmij teraz ster, a ja postawię żagle. Nie ustawiaj jeszcze „Montrail” w linii wiatru, jest on jeszcze zbyt słaby.

Kim postawiła żagle i usiadła obok Reynolda. - Nie przypuszczam, żeby na miejsce zamachu wybrali jedną z tych odludnych wysepek. Jeśli dobrze zrozumiałam, chodzi im przecież o zwrócenie na siebie uwagi opinii publicznej, dlatego sądzą, że zdecydują się na bardziej uczęszczaną okolicę. Ma to być przecież spektakularna akcja.

Niedługo później wiatr wzmógł się na tyle, że można było wyłączyć silnik. Żagle wydeły się prawidłowo. Oprócz poszumu wiatru słychać było tylko krzyk żerujących mew.

Odstęp między „Montrail” a jachtem młodzieżowców nie zwiększał się. Kim westchnęła zadowolona i rozsiadła się wygodnie. Dzień byłby naprawdę przepiękny, gdyby nie grupka tych rozwydrzonych smarkaczy. Spod przymkniętych powiek obserwowała poczynania Reynolda. Był taki przystojny!

Usiadł koło niej i natychmiast otoczył ją ramieniem. Ich usta znalazły się tuż przy sobie.

- Reynoldzie - szepnęła - nie możemy spuścić z oczu tego jachtu.

- Nie bój się, nie odpłyną - odparł zmienionym głosem.

Kim zarzuciła mu ramiona na szyję, a on okrył jej twarz drobnymi pocałunkami. Przytuliła się do niego niemal automatycznie. Namiętność ogarnęła ją gorącą falą. Cieszyła się, że znowu może odczuwać niepokojącą bliskość mężczyzny. Bardzo jej tego brakowało. No cóż, była przecież normalną kobietą...

Wczepiła palce w gęste włosy Reynolda. Skóra paliła jak ogniem pod wpływem dotyku jego dłoni.

- Reynoldzie... - szepnęła.

- Pst, nie mów nic, kochanie. - Zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Objął ją wpół i pociągnął na deski pokładu.

Powoli, niespiesznie, rozkoszując się każdą chwilą, zaczął ją rozbierać. Przez chwilę podziwiał jej nieskazitelną figurę, a potem nagle zaczęło mu się spieszyć. Rozebrał się błyskawicznie i nagim ciałem przywarł do Kim.

Gładziła go wszędzie, a gdy dotarła do miejsca, w którym kumulowały się wszystkie doznania, jęknął głośno.

Wszedł w nią jednym szybkim ruchem, a Kim poddała mu się, nieprzytomna z rozkoszy.

Boże, jak za tym tęskniłam, pomyślała w przeblysku świadomości, a potem zatraciła się w odwiecznym rytmie miłości.

Cudowne wybawienie ze słodkiej męki przyszło równocześnie do nich obojga. Kim krzyknęła głośno imię kochanka, a potem zamarła w bezruchu.

Długo leżeli w czułych objęciach, rozpamiętując każdą sekundę niedawnego szczęścia.

Milczenie przerwał Reynold. Wsparł się na łokciu, podniósł podbródek Kim do góry i zmusił ją, aby na niego spojrzała.

- Kocham cię, Kim - powiedział poważnie.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Wiedziała, że czeka na jakąś reakcję z jej strony, ale nie odezwała się. Obrazy z przeszłości przewinęły się przed jej oczami jak sceny z filmu.

Siedziała w małym ciemnym pokoiku kując do kolejnego egzaminu, bliźniaczki bawiły się na podłodze. W zlewie stała sterta nie pozmywanych naczyń, a na kanapie piętrzyła się góra ubrań, które należało wyprasować. Całość sprawiała nader przygnębiające wrażenie.

Nędzne warunki życia Kim i jej córeczek należały już do przeszłości. Nie mogła tylko zapomnieć owej dojmującej samotności, która tak bardzo jej wtedy dokuczała. Tęskniła do miłości i do mężczyzny, który chciałby iść przez życie z nią i jej córeczkami. Praca pochłonęła ją jednak do tego stopnia, że nie miała czasu rozejrzeć się za odpowiednim partnerem. A kiedy już okrzepla w swoim zawodzie, okazało się, że jest za późno. Wszyscy mężczyźni byli zajęci...

A teraz w jej życiu pojawił się Reynold...

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Twarz jej stężała tak, jakby chciała swoje prawdziwe uczucia ukryć pod maską chłodu. Musiała wykazać się opanowaniem - właśnie teraz.

- Dlaczego próbujesz walczyć z tym, co nas łączy?

Kim otworzyła oczy i spojrzała na Reynolda. - Popęłniliśmy błąd, Reynoldzie. Nie powinniśmy tak ulegać namiętności.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że łączy nas nie tylko namiętność.

- W głosie Reynolda zabrzmiał ledwo powstrzymywany gniew. - Darzymy się sympatią i wiemy, że ta sympatia wykracza daleko poza seks. Nie przeczę jednak, że to namiętność zbliżyła nas do siebie. Było cudownie - dodał znacznie łagodniej.

Wziął Kim w ramiona i pogładził ją po włosach. - Mamy czas, kochanie, bardzo dużo czasu. Nie jesteśmy tak starzy, żeby się spieszyć. Spokojnie zastanowimy się oboje nad tym, co nas łączy.

Kim wiedziała, że miał rację. Decyzje podejmowane impulsywnie, pod wpływem nastroju chwili, nie zawsze okazywały się słuszne. Wtuliła się w silne ramiona Reynolda.

Nagły krzyk mewy sprawił, że wzdrygnęła się.

Wyrzała na zewnątrz. - Reynoldzie, skręcają do zatoki! Skoczyła na równe nogi. - Muszę się zająć żaglami. Włącz silnik. Ubrali się szybko i przystąpili do pracy.

Kim wyluzowała szoty, a kiedy silnik zaskoczył na dobre, zwinęła żagle. - Musimy zaobserwować, gdzie rzucają kotwicę, żebyśmy mogli wyszukać sobie jakieś odpowiednie miejsce po drugiej stronie zatoki.

Reynold skinął tylko głową, skoncentrowany na sterowaniu. Kiedy „Montrail” skręciła do zatoki, jej załoga zobaczyła, że jacht młodych ludzi stoi już na kotwicy. Wybranie odpowiedniego miejsca dla „Montrail” było już tylko zasługą Reynolda. To on posterował jachtem tak umiejętnie, że znaleźli się dokładnie naprzeciwko tamtego jachtu.

- Weź teraz lornetkę i obserwuj ich - poleciła Kim. - Ja tymczasem przygotuję nam coś do jedzenia.

- Tak jest, kapitanie! - Reynold żartobliwie przyłożył dłoń do czoła. Kim pojawiła się za chwilę w kokpicie z kanapkami, piwem, szklankami i serwetkami.

- O, la la! - zawołał zachwycony Reynold. - Wiesz, kochanie, że w twoim miłym towarzystwie zapomniałem o głodzie, jest już przecież druga. Na tamtym jachcie nic się nie dzieje - dodał, podając Kim lornetkę.

- Myślę, że zakotwiczyli tutaj tylko po to, żeby spokojnie zjeść posiłek - zauważyła Kim.

Zjedli po dwie kanapki, wypili po puszcze piwa i od razu humory im się poprawiły.

- Sądzę, że powinniśmy zawiadomić władze w Victorii. Mogą się przecież skontaktować z Friday Harbor.

- Niezły pomysł - stwierdził Reynold z uznaniem. - Nawet jeśli uznają, że mają zbyt mało dowodów na wkroczenie do akcji, będziemy mieli spokojne sumienie, że niczego nie zaniedbaliśmy.

Kim chwyciła mikrofon CB-radia, zainstalowanego między kabiną i kokpitem, nacisnęła guzik i wybrała jakiś numer. Zanim zdążyła podać nazwę swojego jachtu i jego aktualną pozycję, Reynold wyrwał jej mikrofon z ręki.

- Że też wcześniej o tym nie pomyślałem - rozłościł się na siebie. - Jeśli ci młodzi ludzie mają radio włączone na odbiór, usłyszą przecież wszystko.

- Nie przesadzaj, tu jest dwanaście kanałów - roześmiała się Kim.

- Byłby to zaiste przypadek, gdyby włączyli się akurat na tę samą częstotliwość co my.

- Wolałbym nie ryzykować. Wiesz, że ludzkim życiem często rządzi przypadek.

- Może więc nadam zaszyfrowaną wiadomość? - spytała Kim, a gdy Reynold nie sprzeciwił się, nacisnęła ponownie czerwony guzik. Uzyskała połączenie.

- Karl in Friday Harbor, zgłoś się, Karl in Friday Harbor, zgłoś się!

- powtarzała do znudzenia, aż wreszcie usłyszała głos mężczyzny, z którym rozmawiali w urzędzie policji portowej.

Starannie dobierając słowa przekazała mu informację o aktualnej sytuacji. Miała nadzieję, że ją zrozumie.

Nagle połączenie zostało przerwane. W mikrofonie zaległa martwa cisza.

- Cholera, chyba coś nawaliło! - rozłościła się Kim. - Cały czas radio pracowało nienagannie, a właśnie teraz musiało się zepsuć.

- Spróbuję je zreperować, chociaż nie jestem uzdolniony technicznie. Reynold zajął się sprzętem, a Kim usadowiła się na leżaku i wystawiła twarz do słońca. Wiała lekka bryza, a wokół było cicho jak makiem zasiał. Powieki Kim stawały się coraz cięższe i cięższe, nie myślała o niczym. Zasnęła.

## Rozdział 9

Sen Kim został gwałtownie przerwany warkotem silnika. Zerwała się i spojrzała w kierunku jachtu młodych ludzi.

Reynold zapakował właśnie radio do koszyka i wyniósł je do kabiny.

Kim uruchomiła silnik. - Wypłyniemy na żaglach, ale z pomocą silnika. Nie powinni nas usłyszeć, bo sami płyną na silniku.

Duży jacht minął ich dokładnie w momencie, kiedy nagły podmuch wiatru wydał żagle „Montrail”. Zaraz jednak zwisły smętnie w dół, a odstęp pomiędzy oboma jachtami powiększył się znacznie. Młodzi ludzie zwrócili z pewnością uwagę na jacht, który stale kręci się koło nich.

- Chyba coś podejrzewają, Reynoldzie - szepnęła Kim. - Wyraźnie chcą nas zgubić.

- Na to wygląda - odparł spokojnie. - Szkoda, że nie wiemy, dokąd płyną.

- Niestety, nie wiemy - powtórzyła Kim zamyślona. Nagle skoczyła jak rażona prądem. - Czekał, coś mi zaczyna świtać! Słyszałeś kiedyś o Butchart Gardens?

- Owszem, podobno jest tam przepięknie.

- A więc zapraszam cię na wycieczkę do tego parku. Mam przecucie, mgliste wprawdzie bardzo, że ich celem są właśnie Butchart Gardens. Przebywają tam codziennie tysiące ludzi. W parku są sklepy, restauracje, kawiarnie i amfiteatr, w którym pod gołym niebem odbywają się przedstawienia. Wieczorami muszla koncertowa rozbrzmiewa dźwiękiem skrzypiec i fortepianu. To wszystko przyciąga oczywiście licznych turystów. Myślę, że jest to również wymarzone miejsce na zamach terrorystyczny.

- Chyba masz rację, Kim. Gdyby miało być inaczej, to i tak możemy się stamtąd skontaktować z policją.

Kim uznała swój pomysł za ostatnią szansę. Jeśli nie trafią na ślad młodych ludzi w ogromnym kompleksie parkowym, to już ich nie odnajdą.

Mimo napięcia nerwowego nie dawała jej spokoju jedna myśl. Co będzie dalej? Czy Reynold wynajmie samolot i dołączy do swojej grupy rybaków? Czy zostawi ją samą? Prawdę mówiąc, nie bardzo umiała sobie wyobrazić dalszy samotny rejs.

- Myślamy jesteś tak daleko jak ten wielki jacht - skonstatował Reynold nie bez racji. - Powiedz mi, o czym myślisz - poprosił.

- Dobrze, że włączyliśmy silnik - odparła wymijająco. - Na samych żaglach nie popłynęlibyśmy zbyt daleko. Musimy precyzyjnie się między tą wyspą z



przodu i półwyspem Saanich. Prąd jest tam dość rwący, ale powinniśmy sobie jakoś poradzić.

- Dzielna z nas załoga, prawda? - uśmiechnął się Reynold. - Chodź tu do mnie - wyciągnął do Kim ramiona.

Przytuliła się do niego mocno. Podniósł jej głowę i zmusił, aby na niego spojrzała.

- Kocham cię - powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy.

- Czy oczekujesz, żebym ci teraz wyznała miłość do grobowej deski?

- Kim zamierzała powiedzieć te słowa w żartobliwy sposób, ale, niestety, zabrzmiały one dość wyzywająco.

- Właśnie tego oczekuję - powiedział poważnie, całując ją w czoło.

- Kim, dlaczego mi się wymykasz?

- Stoję przecież spokojnie!

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Unikasz poważniejszej rozmowy. Zmieniasz wszystko w żart. Powiedz, czego się boisz?

- Niczego się nie boję - odparła Kim, ale jej głos nie zabrzmiał zbyt przekonująco.

- Owszem, boisz się dopuścić kogoś do zbytnej zażyłości ze sobą. Czuję to przez cały czas, ale nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego.

Kim odwróciła głowę, ale Reynold znowu wziął ją pod brodę. Nie miała wyjścia, musiała spojrzeć mu w oczy.

- Wiem, że myślisz o tym, jak przezwyciężyć przeszkody, które nas dzielą. Uwierz, tak jak ja, w sens starego przysłowia, że „wiara góry przenosi”.

- Myślę, że to nie tylko sprawa wiary - powiedziała Kim myśląc o swoich córkach. Nie zdarzyła się jej dotychczas aż tak bliska znajomość z jakimś mężczyzną, żeby musiała o tym myśleć.

Rok temu zakończyła znajomość ze swoim ostatnim przyjacielem, ponieważ od początku wiedziała, że nic z tego nie będzie. Teraz była pewna, że postąpiła słusznie.

- Kim, powiedz mi, co czujesz - zażądał Reynold.

## Rozdział 10

To była taka chwila, w której Kim najchętniej skoczyłaby z relingu do wody, żeby tylko nie musieć udzielać odpowiedzi... Wspomnienia z przeszłości ożyły nagle. Znowu doznała tego uczucia samotności, którego więźniem była przez tyle lat. Wiedziała, że nie może dopuścić do tego, aby sympatia dla Reynolda przerodziła się w miłość. Postanowiła, że będzie walczyć z tym uczuciem. Nie zdradzi mu tajemnicy swej przeszłości, ponieważ i tak nie widziała szans na wspólne życie.

- Zapomniałeś, że mam dwie córki i że mieszkam i pracuję w Seattle? - spytała na pozór spokojnie. - Zapomniałeś o swojej pracy w Waszyngtonie?

- Nie chce mi się wierzyć, żeby dzieci i odległość mogły stanowić dla nas jakąś realną przeszkodę.

- Sam powiedziałeś, że nie masz doświadczenia z dziećmi. Reynold kiwnął głową. - Nie mam też pojęcia o pracy lekarza. Kim nie skomentowała tej uwagi. - Poznasz moje panienki i przekonasz się, że wychowywanie dzieci nie jest zabawą.

- Zdaje się, że muszę zmienić swoje plany i ostatecznie zrezygnować z łowienia łososi.

- Jeśli robisz to dla mnie, to wołałabym, żebyś się zastanowił. Możesz nas przecież odwiedzić w Seattle.

- Czy to znaczy, że będziesz się chciała ze mną spotykać?

- Jeszcze nie wiem... - Kim roześmiała się nerwowo.

- Twoje piękne oczy nie potrafią kłamać. - Reynold wziął ją w ramiona i zbliżył swe usta do jej warg.

W tym momencie zmieniła się siła wiatru i jego kierunek. Odskoczyli od siebie i ruszyli do roboty. Postawili żagle, aby wydeły się tak, jak trzeba. Po umocowaniu szotów Kim wróciła do silnika i wyłączyła go.

Przez lornetkę zlustrowała okolicę. - Nie widać ich nigdzie - stwierdziła z pewnym rozczarowaniem. - Dopiero po wpłynięciu do portu przekonamy się, czy rzeczywiście zakotwiczyli w Butchart Bay.

Z niecierpliwością wypatrywała kanału prowadzącego do portu.

- Są. Patrz, Reynoldzie, stoją tam, przy nabrzeżu! - Drżącymi z emocji palcami przyłożyła lornetkę do oczu. - Widzę trzy osoby na pokładzie - szepnęła.

- Kim, czy ty czasem nie przesadzasz? Z takiej odległości nie mogą cię przecież usłyszeć.

- O, jest czwarty! Wyszedł na pokład z tacą. Widzę na niej puszki z piwem i chyba coś do jedzenia.

- Myślisz, że zatrzymają się tu na dłużej? - spytał Reynold.

- Niewykluczone. - Kim odłożyła lornetkę i zaczęła wydawać mu rozkazy dotyczące wejścia do portu.

- Musimy ułożyć sobie szczegółowy plan naszego pobytu w Butchart Bay - powiedział Reynold, kiedy rzucili kotwicę.

- Najlepiej powiosłujmy na brzeg i poinformujmy policję o planowanym zamachu.

Młodzi ludzie płynęli już właśnie do brzegu.

- Nie mamy już czasu na żadne plany - powiedział Reynold, przyciągnął linę bączka do burty „Montrail” i pomógł Kim wsiąść do niego.

- Nie bądź taka poważna i skupiona, Kim. Śmieję się, papłaj, zachowuj się jak prawdziwa turystka. Nie możemy wzbudzić ich podejrzeń. Masz tu kartkę i długopis. Podyktuję ci kilka słów, a kiedy będziemy przechodzić koło strażnika, podasz mu tę kartkę niepostrzeżenie.

Kim wysiadła na drewniany pomost. Obok stała ławka, na której siedział miody chłopak i wpatrywał się w nią z nieskrywaną ciekawością. Kim zorientowała się zbyt późno, że to pułapka. Ten chłopak należał do bandy. Stanęli z Reynoldem bezradnie przed wejściem do parku, gdy z krzaków obok niskiego budynku wynurzył się jakiś starszy mężczyzna, prawdopodobnie strażnik parkowy. Tuż za nim szedł kapitan tamtego jachtu. Grożąc mężczyźnie nożem, wykręcił mu prawą rękę na plecy. W wytrzeszczonych oczach strażnika malowała się panika.

- Nie próbuj żadnych sztuczek - zapowiedział chłopak i rozejrzał się bacznie dokoła. Zza jego pleców wyglądały dziewczyny, obie z papierosami w rękach.

- Proszę państwa - powiedział strażnik drżącym głosem. - Proszę tu nie palić. Lato było takie suche...

- Zamknij się, stary! - wrzasnął na niego chłopak i jeszcze mocniej wykręcił mu rękę.

- Alex, nie musisz być taki brutalny! - upomniała go jedna z dziewcząt.

Kim stała jak sparaliżowana obok Reynolda. Zerknęła na niego kątem oka i zauważyła, że z wściekłości nerwowo raz po raz zaciska zęby. Przez chwilę obawiała się, że zechce odegrać bohatera.

- Zwiąż ręce staremu - poleciał chłopak swojemu koledze. - Potem zajmijmy się naszymi sąsiadami. Myśleliście może, że jesteście tacy sprytni? - wykrzywił się do Kim i Reynolda. - Myśleliście, że nie zauważymy, że nas

śledzicie? Mogliśmy was już dawno zgubić, ale zdecydowaliśmy, że lepiej wziąć was jako zakładników.

Drugi chłopak związał strażnika. Kim widziała, że starszy pan jest niemal nieżywy ze strachu.

- Teraz kolej na was - zapowiedział Alex. - Brenda, podaj mi linę. Drugi chłopak przystawił Reynoldowi nóż do gardła. Alex przywiązał go do drzewa. Zrobił to tak umiejętnie, że Reynold nie mógł bez pomocy z zewnątrz uwolnić się z więzów.

Kim spojrzała na drogę w nadziei, że może ktoś się na niej pojawi. Niestety, droga ta była bardzo rzadko uczęszczana.

- Brenda, daj jeszcze jedną linę! - zabrzmiał rozkaz przywódcy. Dziewczyna sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej cienką taśmę.

- Co ty mi tu dajesz? - rozżłościł się. - Prosiłem przecież o linę! Miałam rację, przemknęło Kim przez głowę. Bogate dzieciaki, które nie wiedzą, co zrobić z czasem i z pieniędzmi swoich rodziców. Amatorzy!

Tymczasem Alex zwrócił się i do niej. Nie bawiąc się w delikatność, przywiązał ją do drzewa naprzeciwko Reynolda.

- Hej, a jak będą wołać o pomoc? - spytała Brenda. - Może by ich zakneblować?

- Masz mnie chyba za głupiego, co, mała? Jasne, że trzeba ich zakneblować! - Alex niemal obraził się na dziewczynę.

Druga dziewczyna przyniosła ręcznik i podarła na kawałki. Jeden z tych kawałków wepchnęła Kim w usta i dla pewności przewiązała drugim. Podobnie postąpiła z innymi zakładnikami.

Kim miała wrażenie, że się udusi. Gardło miała wyschnięte, a brzeg ręcznika ranił jej kąciki ust. W głowie waliło jej jak młotem. Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się do oddychania przez nos i zachowania jakiegokolwiek równowagi umysłu.

Po związaniu i zakneblowaniu zakładników grupa młodocianych terrorystów przystąpiła do swojej działalności. Alex poszedł na pomost, schylił się i wyjął spod niego jakiś pakunek. Była to skrzynka długości bochenka chleba.

Oczy Kim rozszerzyły się ze strachu. Krople potu wystąpiły jej na czoło. To była ta bomba, o której dziewczyny rozmawiały w toalecie!

Cała czwórka pobiegła teraz do parku. Była szósta - czas kolacji. O tej porze w Butchart's Gardens roіło się od turystów!

Kim poruszała rękoma. Nie udało jej się rozluźnić więzów, ale zaczęła ostrym kamieniem pierścienka trzeć o linę. To był pomysł! Sznur, którym ją

związano, nie był tak gruby. Być może uda się jej go przerwać. Z wdzięcznością pomyślała o córeczkach. Pierścioneł był przecież prezentem od nich.

Po długim i wyczerpującym tarciu udało jej się przerwać jedną linę, a potem zaraz drugą.

Szybko uwolniła dłonie, wyjęła knebel i schyliła się, żeby rozwiązać nogi.

Błyskawicznie rozplatała najpierw Reynolda, a potem strażnika.

- Zawiadomię ochronę - wykrztusił starszy pan, pocierając obolałe nadgarstki. - Funkcjonariusze dopadną ich z drugiej strony ogrodów japońskich. Wiedzą państwo, gdzie to jest?

Kim potrząsnęła głową przecząco. - Nie, ale jakoś je znajdziemy. Strażnik opisał im drogę i Kim z Reynoldem pobiegli w stronę fontanny, o której mówił strażnik.

RS



## Rozdział 11

- Zobacz, tam jest ten chłopak w czerwonej koszuli - zawołał Reynold. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ubrał się tak krzykliwe, ale dla nas to lepiej. Możemy ich znacznie łatwiej zlokalizować.

Przebiegli pod niskimi arkadami, po których pięły się róże, a potem ruszyli na przełaj przez trawnik w stronę fontanny. Chłopak w czerwonej koszuli zniknął im tymczasem z oczu.

- Chodźmy do pawilonu - zawołała Kim, wskazując ręką japońską budowlę na niewielkim wzniesieniu. - Stamtąd będziemy mieli dobrą widoczność na całą okolicę.

Zdyszani wpadli bez tchu na wzgórze. - Gdzież oni mogli się podziać?! - zdenerwowała się Kim. - I gdzie są ci ochroniarze?

- Poszli pewnie... - Reynold urwał zdanie w połowie. - Patrz, tam, na dole w krzakach coś się rusza! Zostań tu i czekaj na ludzi z ochrony, a ja zorientuję się, co się tam dzieje.

Reynold odwrócił się i już chciał przeskoczyć przez niski biały murek, gdy dostrzegł obie dziewczyny stojące przy słupie, na którym wisiała mała zielona skrzyneczka.

- Dziewczyny są tam, przy słupie - powiedział do Kim. - Nie spuszczaaj ich z oczu!

Kim poszła w ich kierunku. Na chwilę odwróciła się, żeby zobaczyć, co robi Reynold. Był już prawie na brzegu morza. Kiedy spojrzała znów przed siebie, zetknęła się twarzą w twarz z obiema dziewczynami.

- Nieźle - powiedziała Brenda z uznaniem. - Jak tego dokonałaś?

- Co powiedzą wasi rodzice, gdy dowiedzą się o wszystkim? - spytała spokojnie Kim.

Brenda roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu. W tym momencie zobaczyła obok siebie strażnika, który był ich zakładnikiem. Uśmiech zamarł jej na ustach, chwyciła koleżankę za ramię i chciała uciekać, ale z drugiej strony wyrósł jak spod ziemi ochroniarz w polowym mundurze.

Kim rzuciła okiem na brzeg i zobaczyła, że Reynold walczy wręcz z chłopakiem w czerwonej koszuli.

- Pospieszcie się! - krzyknęła do obu mężczyzn. - Musicie mu pomóc!

Nie powiedziała nic o bombie. Wokół nich zgromadził się już liczny tłumek gapiów. Wiadomość o ładunku wybuchowym wywołałaby niewątpliwie panikę wśród turystów.

Ochroniarz założył dziewczynom kajdanki i odprowadził je na posterunek. Jego kolega, który przyszedł mu w sukurs, pognał na brzeg.

Kim z drżącym sercem obserwowała akcję. Nie trwała ona długo. Już po kilku minutach Reynold i ochroniarz wyszli z krzaków. Do każdego z nich był doczepiony kajdankami młody chłopak.

Reynold i Kim siedzieli w restauracji pijąc herbatę. Właściciel lokalu uparł się, żeby tego wieczoru byli jego gośćmi. Przystali na to ze śmiechem. Byli bardzo zmęczeni dzisiejszymi przeżyciami, a tu okazało się, że za chwilę przyjedzie ekipa telewizyjna, aby zrobić z nimi wywiad. Kim zgodziła się na ten wywiad, ale postawiła jeden warunek: pytania miały dotyczyć tylko i wyłącznie incydentu w parku.

- Jak poradziście sobie z rozbrojeniem bomby? - spytała Reynolda.

- Muszę przyznać, że bardzo się bałem - odparł. - Dotychczas tylko raz rozbrajałem bombę, w czasie wojny w Wietnamie. Ładunek tych dzieciaków był zrobiony wprawdzie po amatorsku, niemniej jednak miał niesamowitą siłę rażenia.

- Gdyby wybuchła w morzu, nic nikomu by się nie stało?

- Tak. Chcieli ją właśnie zdetonować w wodzie. Chodziło im w zasadzie o zwrócenie na siebie uwagi, nie o ofiary w ludziach. A ten cały Alex, który grał takiego bohatera, był największym tchórzem ze wszystkich.

- Osiągnęli to, co zamierzali. Jutro będą o nich pisać wszystkie gazety. Mam tylko nadzieję, że wyciągną odpowiednie wnioski na przyszłość. Powiedz mi, Reynoldzie, czy ty także jesteś tak zmęczony jak ja?

- Może nie tyle zmęczony, co stęskniony za byciem z tobą sam na sam.

Właśnie przyjechała ekipa telewizyjna. Jej członkowie zaczęli instalować sprzęt w sali kominkowej, dokąd za chwilę zaproszono Kim i Reynolda. Poszła tam ze ściśniętym sercem. Nie miała pewności, czy pytania będą dotyczyć tylko zamachu.

Atrakcyjna dziennikarka przypięła im do ubrań małe mikrofony. Wywiad rozpoczął się krótkim wstępem dziennikarki, która poinformowała widzów o tym, co zaszło w Butchart's Gardens. Następnie zadała pierwsze pytanie Reynoldowi. Kim udzielił się jego spokój i opanowanie. Bez kłopotu i nadmiernego jękania się odpowiadała na pytania dziennikarki. Ubolewała nad postępkami młodych ludzi, ale zaznaczyła, że nie mieli zamiaru nikogo zabić.

Wywiad trwał niemal pół godziny, a Kim zdawało się, że zaledwie kilka minut. Mimo to odetchnęła z ulgą, gdy się skończył. Pierwszy raz występowała przed kamerami i aż jej się nogi trzęsły z emocji.

Reynold poprowadził ją do stolika, gdzie już czekał kelner.

Złożyli zamówienie, a potem Kim powiedziała: - Właściwie zdziwiłam się, że tak chętnie przystałeś na ten wywiad. Myślałam, że nie chcesz się pokazywać publicznie z obcą kobietą.

Wziął ją za rękę. - Nie jesteś obcą kobietą - szepnął ciepło. - Z tobą jest inaczej, Kim.

Uśmiechnęła się szczęśliwa. Dziennikarka dotrzymała warunków umowy, co jednak wcale nie znaczyło, że komuś nie przyjdzie do głowy zainteresować się bliżej lekarką, w której towarzystwie pokazywał się senator z Montany.

- Muszę zadzwonić do domu, Reynoldzie - oświadczyła. - Nie chcę, żeby moje córki dopiero z gazet dowiedziały się o tej aferze.

- Telefon jest w holu.

Niestety, w domu w Seattle nikt nie odbierał telefonu.

- Nie rozumiem tego, Reynoldzie - powiedziała Kim zaniepokojona.

- Nie przejmuj się, kochanie. Może wyszły na spacer. Zadzwonź jeszcze raz za dwie godziny.

Zajęli się konsumpcją apetycznie pachnących i pięknie podanych potraw. Kim na chwilę zapomniała o ewentualnych konsekwencjach wywiadu.

Przy kawie postanowiła zatelefonować ponownie do Seattle. Chciała już wstać od stołu, gdy usłyszała za sobą aż nadto znajome głosy.

- Mamo, mamusiu, doktor Perkins... - przekrzykiwały się nawzajem. Zerwała się błyskawicznie. - Trący, Megan, co wy tu...

Nie dały jej dokończyć. Utonęła w morzu uścisków i pocałunków.

- Uparły się, pani doktor - śmiała się Anna Mac Kensie. - Z telewizji dowiedziały się, co się stało, i nie było ludzkiej mocy, żeby je powstrzymać. Zadzwoniłyśmy do pani przyjaciela, George'a Carlsona, i przyleciałyśmy tu jego cessa.

- Mamusiu, jesteś teraz sławna! - Trący podskakiwała z radości raz na jednej, raz na drugiej nodze.

Megan przytuliła się do matki. - Nie zrobili ci nic złego, prawda, mamusiu?

- Nic mi się nie stało, jestem tylko troszkę zmęczona, córeczko. Kim ucałowała jeszcze raz obie dziewczynki i przedstawiła je i Annę

Reynoldowi. Usiedli razem do stołu.

W czasie prezentacji zauważyła, że w dziewczynkach dokonała się jakaś dziwna zmiana. Przestały trajkotać, tylko wodziły wzrokiem od Reynolda do niej. - Będziemy dziś nocować na jachcie? - spytała Megan.

Moja praktyczna Megan, uśmiechnęła się Kim w duchu. Chciała od razu wiedzieć, na czym stoi. Chciała wiedzieć, czy ten obcy mężczyzna także będzie z nimi nocował.

- Jeszcze o tym nie myślałam, Megan - odparła po chwili.
- Mamusiu, jestem strasznie głodna - powiedziała Trący. - Mogłybyśmy zamówić to, co ty jadłaś?
- Obejrzyj najpierw kartę, jest tam znacznie więcej pyszności - wtrącił się Reynold. - Co byś powiedziała na gorące mleko lub czekoladę?
- Pijamy herbatę - powiedziała Megan z wyższością.
- Od kiedy? - zdziwiła się jej matka. - Zawsze chętnie piłyście mleko i kakao.
- Nasze upodobania smakowe zmieniły się - dodała Trący. To dorosłe stwierdzenie w ogóle nie pasowało do jej dziecinnego głosu.
- Ja zamówię dla siebie czekoladę, tak jak proponuje senator Burns - oświadczyła Kim kategorycznie.

Kelner przyjął od nich zamówienie na napoje i desery, i oddalił się. Kim była zupełnie zdezorientowana. Co chwila patrzyła badawczo na swoje córki, nie mogąc zrozumieć, dlaczego się tak dziwnie zachowują.

- Gdzie spędzi pan noc? - Trący zwróciła się bezpośrednio do Reynolda.
- Przenocuję w Victorii, ponieważ jutro rano mam naradę w Seattle - odpowiedział spokojnie i tylko Kim wiedziała, że kłamie.
- Dobrze, że mi o tym przypomniałaś, Trący - Reynold spojrzął na zegarek. Późno już. Muszę się z wami pożegnać, żeby zdążyć jeszcze na wieczorny samolot.

Wstał i spojrzął na Kim znacząco. Wiedziała, że pragnie pożegnać się z nią w cztery oczy, wiedziała też, że było to niemożliwe. Obie dziewczynki nie spuszczały z nich oczu.

- Jesteśmy zmęczone, mamo, chodźmy już na jacht - powiedziała Megan.
- Dobrze, idźcie już do portu, zaraz was dogonię.
- Zrozumiałyśmy - odchrząknęła Trący. - Wiemy, kiedy nasza obecność jest niepożądana.

Kim odebrało mowę. Co w te dziewczyny wstąpiło? Nie przypuszczała, że mogą się zachowywać aż tak nieuprzejmie. Czyżby wyczuwały ze strony Reynolda jakieś zagrożenie?

- Nic nie mów - powiedział Reynold, gdy dziewczynki zniknęły z Anną za drzwiami. - Nie krzycz na nie, Kim. To tylko dzieci. - Wziął ją za rękę i ucałował delikatnie. - Kiedy wracacie do domu?
- Pożeglujemy jeszcze trzy dni i wracamy.
- Ja na razie polecę do Portland, a potem będę wolny - spojrzął jej głęboko w oczy, odwrócił się i wyszedł.

Kim westchnęła ciężko, próbując walczyć z nagłym uczuciem osamotnienia, wywołanym jego odejściem.

RS



## Rozdział 12

Trzy dni żeglowania upłynęły Kim i jej córeczkom w miłej, harmonijnej atmosferze. Nie poruszały tematu Reynolda, ale w głębi serca Kim wiedziała, że nurtuje to obie dziewczynki. Nie chciała tylko, żeby się znów tak źle zachowywały, gdy Reynold je odwiedzi w Seattle.

Pierwszy ranek w domu spędziły na zakupach związanych ze zbliżającym się początkiem roku szkolnego. Po południu Kim pojechała do szpitala, aby przeprowadzić wywiad lekarski z ośmioletnią pacjentką, która miała być operowana następnego dnia.

- Jak długo będę spać? - spytała śliczna jasnowłosa dziewczynka.  
 - Około dwóch godzin. - Kim pogładziła ją po lokach.  
 - A będziesz tu, jak się obudzę? - Mała od razu obdarzyła ją zaufaniem.  
 - Oczywiście. Siostró, proszę zabrać dziecko do jej pokoju i poprosić tu jej rodziców.

Wyjaśniła zatroskanym rodzicom, że operacja jest rutynowa i że nie powinny wystąpić żadne komplikacje. Dziewczynka złamała nogę w wypadku samochodowym i trzeba ją teraz było porządnie złożyć.

Wieczór spędziła z Megan i Trący. Myślała, że w spokojnej domowej atmosferze i w szpitalu zapomni o Reynoldzie. Myliła się. Myślami była przy nim.

Operacja przebiegła bez zakłóceń. Kim mogła uspokoić zdenerwowanych rodziców Melissy, że wszystko jest w porządku. Potem pobiegła szybko na oddział intensywnej terapii. Mała mogła się lada moment obudzić, a obiecała jej przecież, że będzie przy niej.

Usiadła w nogach jej łóżka. Po dziesięciu minutach dziewczynka otworzyła oczy. Poznała Kim i z trudem uśmiechnęła się niej.

- Pani doktor, czy będę mogła jeszcze jeździć na rolkach?  
 - Z całą pewnością. - Kim wytarła jej pot z czoła i pogładziła bladą twarzyczkę. - Obiecuję, że do Bożego Narodzenia wszystko się zagoi.

Mała westchnęła z ulgą i poprosiła, żeby przyszła do niej jej mama.

Wracając samochodem do domu Kim złapała się na tym, że nuci sobie pod nosem. Dziś wieczorem zobaczę Reynolda, śpiewało w niej wszystko. Na dzisiejszy wieczór zapowiedział się do nich z wizytą.

W domu usiadła najpierw w swoim ulubionym fotelu i wysłuchiwała wrażeń dziewczynek z pierwszego dnia szkoły.

- To będzie świetny rok, mamusiu - mówiła z zachwytem Trący.  
 - Mamy cudownych nauczycieli - wtórowała jej Megan.

Kim zerknęła na zegarek. Za godzinę Reynold przyjedzie do nich. Wstała, objęła swoje córeczki i ucałowała je. - Muszę się teraz przebrać.

- Dlaczego? - zdziwiły się chórem. - Wychodzisz gdzieś?

- Wiecie przecież, że Reynold zaraz tu będzie. Zaprasza mnie dzisiaj na kolację.

- Myślałyśmy, że już z nim skończyłaś - westchnęła Trący.

- Co też wam przyszło do głowy? Lubię go bardzo i... - Kim zawahała się - nie rozumiem, dlaczego wy go nie lubicie.

- Uczyłaś nas zawsze, żebyśmy szczerze mówiły to, co myślimy, a teraz jesteś na nas zła. On do ciebie zupełnie nie pasuje.

- Tak, nie jest w twoim typie - stwierdziła kategorycznie Megan.

- Co wy możecie wiedzieć na ten temat - Kim niemal obraziła się na swoje dzieci. Odwróciła się na pięcie i poszła na górę do sypialni.

Godzinę później wyszła z niej ubrana w czarną obcisłą suknię ozdobioną jedynie sznurem pereł.

Reynold czekał już na nią na dole. Na jej widok rozpostarł ramiona. - Jesteś jeszcze piękniejsza niż na jachcie - stwierdził patrząc jej w oczy.

Przytuliła się do niego i w tym właśnie momencie do salonu weszły bliźniaczki.

- Och! - wykrzyknęły chórem.

- Myślałyśmy, że jesteś sama - powiedziała Megan, szarpnęła Trący za rękę i chciała z nią wyjść z powrotem do ich pokoju.

- Poczekajcie - zawołała Kim. - Przywitajcie się z panem senatorem.

Trący demonstracyjnie skrzyżowała ręce na piersiach, omijając wzrokiem wyciągniętą dłoń Reynolda. Megan poszła za przykładem siostry i wsadziła obie ręce w kieszenie dżinsów.

- Co wy wyprawiacie, dziewczyny?! - zdenerwowała się Kim nie na żarty. Reynold rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Może napiłybyście się z nami coli? - zaproponowała bardziej opanowanym tonem.

- Nie, wolimy oglądać telewizję - powiedziała krnąbrnie Trący.

- Dzisiaj jest chyba Bill Cosby Show, prawda? Na pewno nie chcecie go przegapić. To świetna zabawa.

- Bill Cosby jest jutro. - Megan popatrzyła z politowaniem na Reynolda. - Poza tym nie cierpimy jego wygłupów.

Dziewczynki były wyraźnie nastawione na „nie”.

- Proszę iść do swego pokoju - poleciała Kim. - Widzę, że wasze maniery pozostawiają wiele do życzenia. Skoro nie umiecie się zachować na poziomie,

spędzicie wieczór nie na oglądaniu telewizji, tylko na przypominaniu sobie zasad dobrego wychowania.

- Ależ, mamusiu... - jęknęła Megan.

- Dość dyskusji. Marsz do pokoju! Przepraszam cię, Reynoldzie. za moje córki. Napijesz się czegoś? - Kim odwróciła się do dziewczynek plecami, ignorując je zupełnie.

Przez chwilę stały niezdecydowane, potem wyniosły się jak niepyszne.

- Przykro mi, że stałem się powodem kłótni rodzinnej - powiedział Reynold. Pojutrze odleczę do Waszyngtonu. Mam nadzieję, że wtedy twoje córki odetchną z ulgą. Ale teraz chciałbym cię mieć tylko dla siebie, Kim.

Przytulił ją i pocałował w usta. - Myślałaś troszkę o mnie? Bo ja stale, zasypiałem i budziłem się, mając cię wciąż przed oczami.

Kim milczała. Myślała o nim, oczywiście, ale nie chciała tego przyznać.

- Czekam na odpowiedź, Kim - szepnął z ustami przy jej skroni. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Anna wetknęła głowę, żeby się pożegnać.

- Dobranoc, Anno. Proszę przypilnować dziewczynki, żeby umyły się przed snem. O dziesiątej mają być w łóżkach. Aha, i nie wolno im oglądać telewizji.

W drodze do restauracji Reynold opowiadał Kim szczegóły swojej nowej kampanii wyborczej. Mówił o niej z takim zaangażowaniem, że wzbudził podziw w słuchaczce. Pomyślała, że jest politykiem z krwi i kości.

W dużym eleganckim lokalu zajęli stolik pod oknem. Pili właśnie białe wino, gdy podszedł do nich niski, zażywny mężczyzna.

- Senator Burns!

Reynold wstał i przywitał się z nim. - Jestem Harvey Radcliff z Butte. Poznaliśmy się zeszłej wiosny, gdy wygłaszał pan mowę w Klubie Rotariańskim.

- Pamiętam, Harvey, oczywiście, że pamiętam. Pamiętam też, że Butte jest uroczym miasteczkiem. Co pan porabia w Seattle?

- Spędzamy z żoną urlop. Siedzi tam, przy stoliku w rogu. Reynold skłonił się uprzejmie pani Radcliffowej.

- Życzę państwu przyjemnego urlopu, Harvey - powiedział z uprzejmym uśmiechem.

Radcliff wrócił do stolika i z ożywieniem zaczął coś tłumaczyć małżonce.

- Jak myślisz, o czym oni tak rozprawiają? - zainteresowała się Kim.

- Nie mam pojęcia i, szczerze mówiąc, wcale mnie to nie interesuje. Dla mnie ważne jest tylko to, żeby głosował na mnie w nowych wyborach.

- Musisz walczyć o każdy głos?

- Tak, to będzie najcięższa kampania w moim życiu.
  - Jak długo zajmujesz się już polityką? - spytała poważnie.
  - Właściwie już na studiach wciągnąłem się w tę działalność. Przez kilka lat pracowałem jako adwokat, ale później polityka wciągnęła mnie tak bardzo, że zrezygnowałem z wykonywania zawodu.
  - Jak wyglądają twoje szanse w pojedynku z tym młodym kontrkandydatem? Mówiłeś, że ma jeszcze mleko pod nosem.
  - Tak - roześmiał się Reynold. - Nie mogę jednak wykorzystać tego argumentu przeciwko niemu. Byłoby to nie fair. Każdy przecież był kiedyś młody.
  - Chciałabym, żebyś wygrał - powiedziała Kim zamyślona.
  - Wygram, jeśli mojej opinii nie zaszkodzą jakieś głupie plotki. Serce Kim zabiło mocniej. Odwróciła wzrok. Nie mogła teraz spojrzeć mu w oczy.
  - Chciałbym, żebyśmy się spotykali jak najczęściej. Wiesz dobrze, że odległość nie stanowi żadnej przeszkody, Kim.
- Ona też tego chciała, z drugiej strony jednak musiała mieć na względzie dobro swoich córek. Nie miała prawa wplątywać ich w skandal, jakim niewątpliwie byłoby ujawnienie romansu senatora z matką nieślubnych dzieci.
- To nie jest takie proste. Reynoldzie - powiedziała poważnie. - Nie zapominaj, że mam dzieci. Co im z matki, która stale siedzi albo w szpitalu albo w samolocie? Wchodzą teraz w trudny okres, widziałeś sam, co się z nimi dzieje, a ja muszę być dla nich oparciem.
  - Okay, widzę, że to ja będę kursował między Waszyngtonem a Seattle - uśmiechnął się senator Buras.

## Rozdział 13

Kim stała w jadalni, przyglądając się z uśmiechem pięknie nakrytemu stołowi. Anna dołożyła wszelkich starań, żeby dobrze wypaść przed gościem. Na ciemnozielonym obrusie ustawiła najlepszą porcelanę w fioletowe kwiatki, piękne srebrne sztuce, fioletowe serwetki i kryształowe kieliszki. Pośrodku stołu stał w niskim wazonie bukiet fioletowych astrów.

- Nie rozumiem, dlaczego robicie tyle zamieszania wokół tego faceta - zauważyła Megan z przekąsem. - My tylko na tym cierpimy. Anna nie usmażyła naszych ulubionych racuchów z jabłkami, bo cały czas pichciła coś na wieczór.

- Nie masz powodów do uskarżania się, Megan - powiedziała Kim.

- Dziś będziemy jedli przecież kurze udka w sosie curry, a jeśli dobrze pamiętam, jest to także jedna z twoich ulubionych potraw.

- I dlatego przyjdę na kolację! - obwieściła Megan, jakby swoim udziałem w kolacji wyświadczała komuś niezwykle zaszczyt. - Ale Trący nie przyjdzie. Powiedziała, że można zabrać jej nakrycie.

Kim poczerwieniała z gniewu. - Idź po swoją siostrę natychmiast! Chcę z wami porozmawiać.

Za chwilę obie dziewczynki pojawiły się z wyczekującymi minami przed matką.

- Chciałam wam zwrócić uwagę na wasze oburzające zachowanie wobec senatora Burnsa. Ostatnio byliście wręcz niegrzeczne. Nie poznaję was!

- Nie lubimy go, mamusiu, i to wszystko - powiedziała Trący. - Nie musimy przecież, prawda?

- Nie musicie go lubić, ale sprawiacie mi przykrość swoją nieuprzejmością. Staralam się wychować was tak, żebyście zawsze były uprzejme wobec innych ludzi, niezależnie od tego, czy ich lubicie, czy nie. Jestem bardzo rozczarowana waszym postępowaniem - dodała smutno.

- Och, mamusiu! - zawołały dziewczynki przestraszone. - Nie bądź taka smutna!

Podbiegły do niej i przytuliły się.

- Jeśli chcesz, możemy ci obiecać, że dzisiaj będziemy grzeczne - zaproponowała Megan.

- Nie będziemy dokuczać temu twojemu senatorowi! - zawtórowała jej Trący.

Kim ucałowała córeczki serdecznie. - Idźcie do siebie przebrać się. Reynold zaraz tu będzie.



Kolacja upłynęła w nad wyraz sympatycznej atmosferze. Bliźniaczki prowadziły konwersację z Reynoldem, uśmiechały się do niego i w ogóle zachowywały się jak panienki z dobrego domu. Przy deserze, na który Anna podała melbę, Trący spytała Reynolda: - Jak się panu podoba w naszym stanie, panie senatorze? Mamy bardzo rozwiniętą sieć autostrad i całe mnóstwo pięknych parków. Czy u pana, w Montanie, jest też tak ładnie jak tutaj? Pewnie też są tam autostrady i parki, ale my mamy oprócz nich niedaleko do morza i gór.

- Tak, mieszkacie w bardzo pięknej okolicy - potwierdził Reynold.

- Pan na pewno wygra te wybory? - ciągnęła dalej mała. - Jeśli pan je wygra, będzie pan musiał zostać na stałe w Waszyngtonie, prawda?

- Tak, tam jest siedziba senatu.

- Wobec tego życzę panu, żeby pan je wygrał! - powiedziała dziewczynka triumfująco, a jej matka wyczuła, że chodzi jej nie tyle o wygraną Burnsa, co o to, żeby właśnie był jak najdalej od nich. Nie powiedziała jednak nic, przyjmując słowa Megan za dobrą monetę.

Dziewczynki poczekały, aż wszyscy zjedli, podziękowały i wycofały się do swego pokoju.

Dorośli nie mieli pojęcia o ich planie, który właśnie zamierzały wprowadzić w czyn.

- Musimy tu ściągnąć George'a. Mama zawsze całuje się z nim na powitanie. Zorganizujemy to tak, żeby senator Burns wszedł na ten moment.

- Ale co mu powiemy?

- Powiemy, że mama prosi, żeby do nas przyjechał. Wiesz, on zawsze chętnie jej pomaga. Nie domyśli się, że to podstęp.

Kim i Reynold pili kawę w salonie, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Za chwilę Anna wprowadziła George'a Carlsona do salonu.

Kim rzuciła mu się w ramiona i rzeczywiście pocałowała w policzek.

- George, stary druhu, jak dawno cię nie widziałam!

Reynold patrzył zdezorientowany, jak wysoki przystojny mężczyzna obejmuje kobietę, którą kochał. Tymczasem Kim wzięła gościa za rękę i poprowadziła ku sofie.

- Chciałabym ci przedstawić senatora Reynolda Burnsa - powiedziała rozpromieniona.

Panowie uścisnęli sobie dłonie i wszystko przebiegało na pozór normalnie, gdyby nie nagły chłód w zachowaniu Reynolda. Kim zauważyła oczywiście tę zmianę, ale nie umiała jej sobie wytłumaczyć.

Anna przyniosła kawę i melbę dla George'a. Wiedziała, że to jego ulubiony deser, i nie omieszkała tego powiedzieć.

Obaj panowie rozmawiali o zajściu w Butcharts Gardens. George wyraził podziw dla zimnej krwi senatora i podziękował mu za wspieranie jego przyjaciółki.

- Cały szpital nie mówi o niczym innym, tylko o twoim bohaterskim wyczynie, Kim. Wszyscy łamią sobie głowy nad motywem postępowania tych młodzińców i... - zawiesił głos - nad tym, dlaczego pani doktor Perkins żeglowała z senatorem Burnsem.

Twarz Reynolda spochmurniała jeszcze bardziej. Ten cały Georg był tu chyba na specjalnych prawach. Zachowywał się jak u siebie w domu, przynoszono mu ulubiony deser, Kim rzucała mu się na szyję!

Kim spostrzegła naturalnie ponurą minę Reynolda. Czyżby był o nią zazdrosny? Postanowiła pokierować rozmową tak, aby wiedział, że nie ma powodów do zazdrości.

- A co słyhać w twoim domku trzech dziewcząt? - spytała George'a. - Wszystkie panienki zdrowe?

- O, tak! Moje dwie młodsze prosiły, abym koniecznie pozdrowi! ciocię Kim od nich.

George spojrział na zegarek. - Byłem trochę zaniepokojony telefonem od Megan, ale, dzięki Bogu, widzę, że wszystko w porządku. Pójdę już, Kim. Miałem zamiar położyć się wcześniej, ponieważ jutro operuję.

- Megan wezwała cię tutaj? - zdziwienie Kim nie miało granic.

- Tak. nic o tym nie wiesz? - zdziwił się z kolei George.

- Była tak przejęta, że postanowiłem natychmiast wpaść do was.

- Nic o tym nie wiedziałam! - Kim potrząsnęła głową. - Nie rozumiem, co nią kierowało.

- Nic się przecież nie stało, Kim - uśmiechnął się George. - Megan powiedziała tylko, że jesteś tak wstrząśnięta incydentem z młodocianymi terrorystami, iż nie wie, czy będziesz w ogóle mogła pracować.

- Coś podobnego! - Kim była wyraźnie wściekła.

- Nie bierz jej tego za złe - poprosił George. - Przypuszczani, że po prostu martwiła się o ciebie.

- Być może - odparła-Kim zamyślona. - Myślę jednak, że coś się za tym kryje. - Obrzuciła Reynolda wiele mówiącym spojrzeniem.

George wstał i pożegnał się z Kim i jej gościem.

- Chcesz jeszcze brandy? - spytała Kim Reynolda po wyjściu George'a.

- Tak, chętnie bym wypił jeszcze kieliszek.

Wziął od niej pękate naczynie z bursztynowym płynem i zapytał: - No i co powiesz na to wszystko? Twoje córki chyba mnie po prostu nie znoszą. Telefon do George'a był z całą pewnością celową robotą.

- I mnie się tak zdaje - zgodziła się z nim Kim. - Popełniłam chyba jakiś błąd w ich wychowaniu. Muszę się z nimi poważnie rozmówić.

- Nie rób tego, Kim - poprosił Reynold. - Twoje córki są już na tyle duże, że mogą mieć prawo do własnego zdania. Mają też prawo do wyrażania go. Chciałbym ci tylko przypomnieć, że w czasie dzisiejszej kolacji były naprawdę miłe.

- Zepsuły wszystko tym telefonem do George'a - posmutniała Kim. Reynold czuł, że czeka na poparcie z jego strony, nie był jednak

w stanie nic powiedzieć, ponieważ nie wiedział, czy George był dla Kim naprawdę tylko przyjacielem. Nie chciał pytać, jaką rolę odgrywa w jej życiu, wolał, żeby mu to sama powiedziała.

Pomyślał o swoim dotychczasowym życiu, które biegło utartym torem, zanim poznał Kim. Tak, ta znajomość przyniosła mu wiele komplikacji. Pokochał kobietę, której córki nie zaakceptowały go. Ciekaw był, dlaczego tak się stało? Czy George miał w tym jakiś udział? Czy to on miał zastąpić dziewczynkom ojca? Myśl, nagła jak błyskawica, sprawiła, że Reynold zapragnął uciec stąd jak najdalej. Nie mógł znieść świadomości, że w życiu Kim może być jakiś inny mężczyzna oprócz niego.

Wstał raptownie. - Dziękuję za piękny wieczór, Kim - powiedział sztywno.

- Co się stało? - przestraszyła się. — Czemu jesteś nagle taki oficjalny?

- Mam za sobą ciężki dzień - odparł nie zmieniając tonu. - Jutro rano mam samolot, chciałbym trochę odpocząć.

- No, trudno - Kim powściągnęła chęć, żeby mu się rzucić w ramiona. - W takim razie dobranoc.

- Dobranoc, Kim.

## Rozdział 14

Minęły trzy tygodnie, trzy długie tygodnie, w czasie których Reynold nie odezwał się ani słowem. Nadzieja Kim na jakiś sygnał z jego strony słabła z dnia na dzień. Była już prawie pewna, że Reynold zerwał znajomość z nią.

Tego dnia Kim wróciła do domu kompletnie przygnębiona. Nie liczyła już na nic. Unikając spotkania z Anną, poszła na górę do swojej sypialni i położyła się. Przespała się godzinę, co jednak wcale nie wpłynęło na poprawę jej samopoczucia. Niechętnie weszła do kuchni.

- Ach, pani doktor - ucieszyła się Anna. - Jest do pani poczta. Zaraz ją przyniosę.

- Niech się pani nie spieszy. Na pewno nie ma w niej nic ważnego. Ludzie zaprzestali pisania listów, oprócz rachunków i prospektów reklamowych nie znajdzie się w skrzynce niczego ludzkiego.

Kim wzruszyła ramionami i zeszła do sali gimnastycznej, którą urządziła w suterenie. Postanowiła najpierw pojeździć trochę na rowerku, a potem poćwiczyć z hantlami. Może wysiłek fizyczny poprawi jej humor.

Po godzinie przyszły do niej Megan i Trący. Pocałowały mamę na powitanie.

- Wiesz, mamusiu, nie mogę pokazać się w szkole - oświadczyła zupełnie przybita Trący.

- A co się stało? - spytała Kim, szczęśliwa, że dziewczynka chce się z nią podzielić swoim zmartwieniem.

- Wyobraź sobie, mamusiu - wyręczyła siostrę Megan - że ta idiotka upuściła wszystkie swoje książki akurat przed Randym Wilsonem.

- No to co? - zdziwiła się Kim.

- No wiesz, mamó! - Megan spojrzała na nią z wyrzutem. - W ten sposób chciała zwrócić na siebie uwagę. Zrobiła to specjalnie.

- Ale dlaczego?

- Oj, mamó! - Trący komicznie przewróciła oczami.

- Najgorsze, że ten podstęp wcale jej nie wyszedł. Randy po prostu ominął ją i jej książki i poszedł dalej.

- Aha! - uśmiechnęła się Kim.

Trący zasłoniła twarz rękoma. - Skompromitowałam się! Nie mogę już wrócić do szkoły!

Kim знаła swoją córkę. Wiedziała, że Trący lubi dramatyczne sytuacje i że często sama je powoduje. Przytuliła nieszczęśliwą dziewczynkę do siebie.

Wyjaśniła jej, że to, co się stało, nie ma nic wspólnego z kompromitacją i że spokojnie może chodzić do szkoły. Już po chwili Trący dała się przekonać.

- A teraz marsz na górę! - poleciła córkom Kim. - Za chwilę Anna poprosi nas na kolację.

Popatrzyła z uśmiechem za oddalającymi się dziewczynkami, a potem westchnęła ciężko. Zapragnęła, żeby i jej problemy można było rozwiązywać z taką łatwością. Tymczasem życie jej ułożyło się tak, że to ona pomagała wszystkim w ich problemach, zarówno w pracy jak i w domu. Brakowało jej silnego męskiego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć w chwilach słabości.

Po kolacji bliźniaczki poszły na jakąś szkolną dyskotekę, a Kim usiadła przed telewizorem. Kolejny samotny wieczór, pomyślała smutno. Dobrze, że wzięła do domu historie chorób swoich pacjentów. Ich lektura pomoże jej zająć myśli.

Praca pochłonęła ją rzeczywiście do tego stopnia, że ze zdziwieniem przyjęła powrót córek do domu.

- Już jesteście, panienki? Wydawało mi się, że dopiero co wychodziłyście z domu.

- Minęły prawie dwie godziny, mamusiu - zawołała Megan.

- Coś blado wyglądasz - dodała Trący. - Dobrze się czujesz?

- Owszem, jestem tylko trochę zmęczona.

- To dobrze, mamusiu, nie chciałybyśmy, żebyś była nieszczęśliwa - uśmiechnęła się Trący.

Dziewczynki poszły spać, a Kim sięgnęła pierwszy raz tego dnia po gazetę. Już na pierwszej stronie zobaczyła zdjęcie mężczyzny, którego kochała. Dziennik zamieszczał relację z podróży przedwyborczej senatora Reynolda Burnsa i akcentował szczególnie, że Burns zatrzymuje się nie tylko w większych miastach Montany, ale zajeżdża również do małych miasteczek i osad farmerskich. Dodawał również, że jego młody kontrkandydat tak nie postępuje.

Kim złożyła gazetę. A więc Reynold był zajęty. Pewnie nie miał czasu, żeby znaleźć choćby chwilę dla niej. Nie, zaprzeczyła natychmiast swoim myślom. Znała go na tyle dobrze, że wiedziała, iż to nie brak czasu jest tu przeszkodą. Gdyby mu na niej zależało, zadzwoniłby z pewnością.

Kim zaczęła cierpieć na bezsenność. Potrafiła całymi godzinami wpatrywać się w sufit, a sen nie nadchodził: Efektem niedospania była jej nadmierna drażliwość w pracy i w domu. Koleżanki lekarki zaczynały już na nią patrzeć wilkiem, a dziewczynki i Anna zaczęły jej po prostu schodzić z



drogi. Kim była zła na siebie i na to, że nie potrafi się pohamować, ale to było silniejsze od niej. Cierpiała tak bardzo, że nie umiała się już na niczym skoncentrować.

W miarę zbliżania się wyborów w prasie ukazywało się coraz więcej artykułów przedstawiających sylwetki senatorów. Praktycznie każdego dnia Kim widziała zdjęcie Reynolda w gazecie. Do wyborów został jeszcze tylko tydzień, a potem...

Tego wieczoru wytrzymałość Kim skończyła się. Posunęła się nawet do tego, że odwołała operację zaplanowaną na dzień następny. Tłumaczyła się złym samopoczuciem, co tylko częściowo było prawdą. Bała się, że ręka jej zdrzży.

Runęła na łóżko i wybuchnęła szlochem.

- Mamusiu, co się stało? - pierwsza przybiegła do jej sypialni Trący. Przytuliła się mamy i zaczęła płakać z nią.

- Nic mi nie jest, kochanie - powiedziała Kim przez łzy. Zła była na siebie za to, że wplątuje córki w swoje osobiste sprawy.

- Ale przecież płaczesz! Nie płacze się bez powodu! Megan i ja martwimy się o ciebie!

- Niepotrzebnie, kochanie. Nie dzieje się nic złego - Kim próbowała uspokoić roztrzęsioną dziewczynkę.

- Mamusiu, komu zwierzysz się ze swoich kłopotów, jak nie nam? Niedługo będziemy miały po trzynaście lat. Jesteśmy już prawie dorosłe! Nie traktuj nas jak dzieci!

Kim westchnęła ciężko. Wiedziała, że nadeszła pora na szczerość.

- Trudno mi o tym mówić, skarbie. Moje przygnębienie ma związek z senatorem Burnsem. Myślałam, że polubił mnie trochę, ale od tamtego wieczoru, kiedy był u nas na kolacji, nie odezwał się już.

Spojrzała na córkę poważnie.

- Nie myślałam, że mnie to aż tak zaboli. Może miałyście rację, może on rzeczywiście nie pasuje do mnie i do naszego spokojnego życia.

Trący pogładziła matkę po policzku. Było jej przykro, że mama płacze za Burasem.

- Wiem, maleńka, że ostatnio bardzo się zmieniłam. Nie zachowywałam się wobec was najlepiej. Obiecuję, że to się zmieni. Żaden smutek nie trwa przecież wiecznie, prawda?

Kim uśmiechnęła się z trudem, pocałowała córkę i kazała jej wracać do siebie.

Dziewczynka wpadła jak burza do pokoju, który dzieliła z siostrą.

- Wyłącz natychmiast ten telewizor. Megan! - zażądała z punktu.  
 - A to niby dlaczego? - zainteresowała się tamta.  
 - Zachowałyśmy się obrzydliwie wobec mamy i ona teraz przez nas cierpi.  
 - Co ty mówisz? - Megan podniosła się z fotela.  
 - Płakała teraz przez nas, wiesz dlaczego? Bo obrzydziłyśmy ją temu senatorowi! My, jej córki, zachowałyśmy się tak podle, że sprowadziłyśmy na mamę nieszczęście.

- Ojej! - przeraziła się Megan. - Czyżby nasz zamiar postraszenia go George'em powiódł się?

- Zdaje się, że tak. W każdym razie od tamtego wieczoru senator nie odezwał się do mamy. I ona dlatego jest taka nieszczęśliwa.

- Przedobrzyłyśmy, co, Trący?

- Niestety, teraz musimy wszystko odkręcić. Zniosę wszystko, byle nie były to łzy naszej mamy. Ubieraj się, mam pewien pomysł.

Dziewczynki pobiegły w pośpiechu piętro wyżej, do pokoju Anny.

Nie zdziwiła się ich przyjściem, chociaż bardzo rzadko zdarzało się, żeby odwiedzały ją w jej prywatnych apartamentach. W siatce na porządnie ułożonych włosach, w długim niebieskim szlafroku zaprosiła je do środka.

- Najpierw usiądźcie, odsapnijcie po wspinaczce po schodach i powiedzcie, co wam leży na sercu.

- Popęłniłyśmy błąd i tylko pani może nam pomóc naprawić go. Na zmianę opowiedziały całą historię, której były autorkami, a której teraz bardzo żałowały.

- Rozumiem teraz wszystko - westchnęła Anna. - Dziś jest już za późno na dzwonienie do ludzi, ale postaram się przynajmniej znaleźć numer telefonu senatora Bumsa. Zadzwońię do niego jutro rano, kiedy pani doktor pójdzie już do szpitala.

Następnego ranka dziewczynki jak nigdy zadbały o to, żeby ich mama nie spóźniła się do pracy. Zaraz po jej wyjściu trójka spiskowców zasiadła do telefonu.

Bliźniaczki wprost wisiały oczami na ustach gospodyni. Anna wyjaśniła senatorowi całe nieporozumienie i przeprosiła go w imieniu dziewczynek. Na koniec rozmowy zaprosiła go na kolację i rozpromieniła się, gdy przyjął zaproszenie.

- Pani Anno, była pani cudowna! - zawołała Megan, gdy gospodyni odłożyła słuchawkę, i uściskała Annę.

- Tylko jak wytłumaczymy mamie niespodziewaną wizytę senatora? - zafrasowała się Trący.

- Dobre pytanie - stwierdziła Megan. - O tym nie pomyślałyśmy. Mam nadzieję, że przyjdzie nam coś do głowy.

Dziewczynki założyły tornistry i wybiegły na ulicę, gdzie już czekał na nie szkolny autobus.

RS

## Rozdział 15

Następnego wieczoru dziewczynki były tak zdenerwowane, że Anna miała z nimi pełne ręce roboty. Dosłownie w ostatniej chwili zmusiła je, żeby się przebrały do kolacji.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, jedna popychała drugą i żadna nie miała odwagi otworzyć.

W końcu Megan zdobyła się na odwagę. W drzwiach stanął senator Burns z bukietami goździków, po jednym w każdej ręce.

- Te kwiatki są dla was. To wyraz mojej wdzięczności za zaproszenie na kolację i propozycję rozejmu.

Dziewczynki przyjęły bukiety dygając śmiesznie. - Powinniśmy pana przeprosić - szepnęły zażenowane.

- Poproście pana senatora do jadalni - upomniała dziewczynki Anna. Reynold usiadł w fotelu przy oknie. - Jutro odbędą się wybory, dlatego o północy muszę polecieć z powrotem.

Gospodyni przyniosła lemoniadę dla bliźniaczek i drinka dla Burnsa.

Trący wreszcie zdobyła się na odwagę i opowiedziała Reynoldowi kulisy historii z George'em. Na koniec Megan jeszcze raz poprosiła o wybaczenie.

Reynold potraktował całą sprawę z humorem i uznał ją za niebyłą. Zmienił temat, pytając, co słychać w szkole.

- Och, niedługo wystawiamy prawdziwą sztukę! - entuzjasmowały się dziewczynki

- Dostanę zaproszenie na wasz występ?

- Ale... - zawahała się Trący. - To amatorskie przedstawienie i...

- Nie szkodzi. Od amatorskich przedstawień zaczynają się prawdziwe kariery.

W tym momencie do jadalni weszła Kim i... oniemiała na widok Reynolda.

Dziewczynki podskoczyły do niej. - Mamusiu, senator Burns przyjechał do nas w odwiedziny i on... to znaczy my... - zaczęła się jąkać Trący.

- Czekaj, ja opowiem - przekrzykiwała ją Megan.

- A może zostawicie to mnie? - zapytał Reynold z prośbą w głosie. - Kim - zaczął podchodząc do niej - moja przeklęta ambicja nie pozwoliła mi do ciebie zadzwonić. Zachowałem się głupio, wiem, ale gdy usłyszysz całą historię, może mi wybaczysz.

Kim uśmiechnęła się promiennie, po raz pierwszy od kilku tygodni. Wyciągnęła rękę do Reynolda. - Cieszę się, że cię widzę. Nie rozumiem tylko,

dlaczego wybrałeś na wizytę wieczór przed wyborami. Nie powinieneś być teraz w swoim sztabie?

- Uznałem, że dobrze będzie choć przez kilka godzin odpocząć od tego stresu. O północy będę jednak musiał wracać. Nawet byłem wdzięczny Annie za jej telefon.

- Za jaki telefon? - zdziwiła się Kim.

- Megan, opowiedz mamie o telefonie - zażądała Trący.

- Dlaczego ja? To przecież twój pomysł!

Reynold znowu wkroczył do akcji. Objął obie dziewczynki i opowiedział wszystko. Bliźniaczki tylko potakiwały.

- Teraz już wszystko rozumiem - westchnęła Kim i pogroziła córkom palcem. - Mogłyście nas wpędzić w niezłą kabałę, ale na szczęście zreflektowałyście się w porę.

- Nie gniewasz się na nas, mamusiu?

- Nie - uśmiechnęła się Kim. - Wykazałyście się sporą odwagą.

- Och, mamusiu, jaka ty jesteś kochana! - dziewczynki zawisły Kim na szyi.

- Umówiliśmy się z Rachel, żeby przeciwiczyć nasze role w przedstawieniu. Będziemy już musiały iść.

Dziewczynki nie przyznały się tym razem do wybiegu, ale chciały zostawić mamę sam na sam z Reynoldem.

Zasiedli więc do kolacji sami. Zjedli w milczeniu wołowinę w jarzynach, jedno z popisowych dań Anny, i zakończyli posiłek pyszną szarlotką i kawą.

- Powinniśmy porozmawiać o naszych sprawach - zaproponował Reynold składając serwetkę.

- Przejdźmy wobec tego do salonu. Będiesz fam mógł w wygodnym fotelu napić się brandy.

- Muszę przyznać, że byłem zazdrosny o George'a Carlsona - powiedział Reynold po pierwszym łyku brandy. - Nie mogłem sobie poradzić z tym jakże niskim uczuciem.

- A ja myślałam, że już zerwałeś znajomość ze mną - westchnęła Kim. - Było mi bardzo, bardzo smutno.

- Wybacz, kochanie, postaram się poprawić. Może to dobrze, że dowiedziałaś się, iż nie mogę ścierpieć żadnego mężczyzny przy tobie. Chyba że to ja będę tym mężczyzną! - roześmiał się.

- Stale myślałam o tobie - szepnęła Kim.

- Ja też często o tobie myślałem, ale na szczęście miałem bardzo dużo roboty w związku z wyborami.



Reynold przyciągnął Kim do siebie. - Tęskniłem za tobą, pani doktor - musnął ustami jej wargi.

Kim zadrżała i przytuliła się do niego, szczęśliwa, że znowu jest przy niej.

- Kocham cię, Kim - szepnął Reynold. - Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Reynold... - Kim zawahała się na moment. - Prawdziwa miłość opiera się na obopólnym zaufaniu, w przeciwnym razie, gdy tego zaufania brakuje, trudno mówić o miłości. Może to być co najwyżej namiętność, pociąg erotyczny, fascynacja czy jak tam chcesz to nazwać. Powinniśmy sobie ufać nawzajem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem był ci zaufać nawet wtedy, gdy widziałem cię w ramionach innego mężczyzny?

- Daj spokój, Reynoldzie - zdenerwowała się. - George jest żonatym, dzieciatym mężczyzną. Przyjaźnimy się od dawna i wiem, że zawsze mogę na niego liczyć. Traktuję go jak starszego brata, to wszystko.

Około dziesiątej bliźniaczki wróciły do domu, ale zaraz wycofały się do siebie, nie chcąc przeszkadzać mamie i jej gościowi.

- W ogóle nie chce mi się wracać - oznajmił Reynold biorąc Kim w ramiona. - Najchętniej zostałbym tu na noc.

- Ja także tego pragnę - przyznała szczerze. - Reynoldzie, skoro sama zaczęłam mówić o zaufaniu, chciałabym ci coś wyznać.

Kochała go i nie chciała mieć przed nim żadnych tajemnic. Miała nadzieję, że ją zrozumie i nie potępi.

Odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać historię swoich dzieci. Widziała, jak oczy Reynolda smutnieją i jak rodzi się w nich współczucie.

- Moje biedactwo! - pogładził ją po policzku, gdy skończyła.

- Nie chcę twojej litości. Ta sprawa już mnie prawie nie boli, a opowiedziałam ci o niej, ponieważ nie chciałam cię okłamywać.

- Dużo przeszłaś, kochanie - Reynold przytulił ją mocniej. - Ja bym temu facetowi nie darował! - rozzłościł się.

- Nie jestem mściwa, Reynoldzie, poza tym to już przeszłość. Nie mam z nim kontaktu, mieszka w innym stanie, a córki go nie interesują. Dostałam spory spadek po rodzicach i dzięki temu mogłam utrzymać się na powierzchni. Dzieci zaś były i są dla mnie prawdziwą radością.

Kim spojrzała Reynoldowi w oczy.

- Odpowiedz mi teraz szczerze - poprosiła. - Czy fakt posiadania przeze mnie dwóch nieślubnych córeczek może zaważyć na naszym związku?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł natychmiast. - Dziękuję ci za szczerość, Kim. Ta decyzja musiała cię sporo kosztować.

Reynold ujął dłoń Kim i złożył na niej gorący pocałunek.

- Kocham cię i chcę, abyś została moją żoną. Kim. Oczywiście jeśli dziewczynki się zgodzą.

- Kiedyś pytało się rodziców o zgodę na małżeństwo - uśmiechnęła się Kim. - Teraz przyszła kolej na dzieci.

Zegar na kominku wybił jedenastą. - Muszę już iść, kochanie. Wrócę za tydzień, żeby omówić z wami naszą wspólną przyszłość.

RS

## Rozdział 16

Kim i bliźniaczki wpatrywały się niewolniczo w ekran telewizora. Reynold miał wyraźną przewagę w notowaniach, ale ostateczne wyniki miały zostać podane dopiero w ostatnich wiadomościach.

Wreszcie doczekały się. Reynold Burns został ponownie wybrany senatorem Montany! I to w dodatku ogromną większością głosów.

Następnego ranka Kim nakręciła prywatny numer Reynolda, żeby mu pogratulować. Na linii były jakieś zakłócenia, ale miała nadzieję, że dotarła do niego jej radość z jego wspaniałego zwycięstwa.

Dwa dni później Reynold zadzwonił do niej. Rozmawiali blisko godzinę. Mówił, że jest teraz szalenie zajęty, że pędzi z jednego spotkania na drugie i że nawet w weekend będzie musiał pracować.

Kim nie kryła rozczarowania. Zapytała wprost, kiedy się będą mogli spotkać.

Reynold umilkł. Dopiero po chwili lekko zniecierpliwionym głosem odparł, że nie potrafi określić terminu.

W ciągu następnego tygodnia Kim pracowała jak opętana. Przeprowadziła trzy operacje, doglądała pacjentów, a wieczorami załatwiała w domu całą papierkową robotę.

Zmęczona kładła się do łóżka i wtedy ogarniały ją wątpliwości. Reynold wydawał się przez telefon taki zmieniony... Powiedział jej wprawdzie, że ją kocha i że chce, aby została jego żoną, ale Kim coś się w nim nie podobało.

Dni oczekiwania na sygnał od ukochanego zmieniły się w tygodnie. Gazety nie pisały już o popularnym senatorze z Montany. Kim nie wiedziała, co się z nim dzieje, gdzie aktualnie przebywa i co porabia.

Wiele razy kładła już rękę na słuchawkę i cofała ją. Nie, nie mogła zadzwonić do Reynolda. On powinien odezwać się pierwszy!

Doszła wreszcie do wniosku, że Reynold musiał jeszcze raz przemyśleć jej wyznanie o nieślubnych dzieciach. Wtedy zaproponował jej wprawdzie małżeństwo, ale dopiero po wyborach dowiedział się, że jego partia wystawi jego kandydaturę w wyborach prezydenckich. Prezydent musiał cieszyć się nieskazitelną opinią, amerykańscy wyborcy byli na to bardzo wyczuleni.

Związek z matką dwojga nieślubnych dzieci na pewno by mu zaszkodził.

Tak, to musiało być to! Kim westchnęła. Zdaje się, że straciła szansę na ułożenie sobie życia z mężczyzną, którego kochała.

Rozmyślania Kim zakłóciło nagłe wtargnięcie Trący. Była tylko w podkoszulku narzuconym na mokry kostium kąpielowy.

- Mamo, chodź z nami na próbę, zobaczysz, jak nam dobrze idzie.

- Czyś ty zupełnie oszalała, dziewczyno! - krzyknęła na nią Kim. - Nie potrafisz się nawet przebrać w suche rzeczy! Masz pretensje do dorosłości, a zachowujesz się jak małe dziecko.

- Mamusiu, co się z tobą dzieje? - przestraszyła się dziewczynka.

- Nic się ze mną nie dzieje! W tej chwili marsz na górę pod ciepły prysznic. Jeszcze mi tu twojego przeziębienia brakowało! Czy twoja mądra siostra także paraduje w mokrym kostiumie?

- Nie, Megan już się przebrała - szepnęła mała lekliwie. - Widzę, że znowu masz kłopoty z senatorem Burnsem - dodała.

- Nie twoja sprawa, smarkata! - krzyknęła za nią Kim. - Za dziesięć minut chcę cię tu widzieć umytą i ubraną. I twoją siostrę również.

Dziesięć minut później obie dziewczynki karnie stały się przed chmurnym obliczem matki.

Kim zobaczyła strach w ich oczach. O, Boże, jęknęła w duchu, co ja wyprawiam. One są teraz w trudnym wieku, wchodzą w okres dojrzewania, a ja, zamiast im pomóc, przenoszę na nie swoje własne problemy.

- Chciałam wam powiedzieć, że chwilowo mam kłopoty. Zaznaczam, że są to tylko moje kłopoty. Proszę bardzo, żebyście się nie mieszały do moich spraw, a przede wszystkim niech wam nie przyjdzie do głowy wydzwaniać do senatora Burnsa. Proszę nie spiskować za moimi plecami, rozumiecie?

Dziewczynki kiwnęły głowami. Wyszły na próbę przedstawienia. Kim dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie pocałowały jej na pożegnanie.

Zrobiło jej się jeszcze smutniej. Nie dość, że Reynold, a właściwie jego milczenie spędzało jej sen z oczu, to teraz jeszcze ta niepotrzebna sprzeczką z dziećmi! Żałowała, że nie okazała im więcej serdeczności.

Przebrała się w szlafrok i usiadła przed kominkiem z gazetą w ręku. Z lektury jednak nic nie wyszło, ponieważ już za chwilę zasnęła w fotelu.

Kiedy się obudziła, ogień dogasał w kominku. Zegar wskazywał północ, a bliźniaczek jeszcze nie było w domu.

Kim przeszukała wszystkie pokoje. Megan i Trący nie wróciły do domu!

Weszła na drugie piętro do Anny. Nigdy nie budziła jej w nocy, ale teraz po prostu musiała. Niepokój o dzieci chwycił ją za gardło.

Niestety, Anna wiedziała tylko, że dziewczynki poszły do Rachel na próbę przedstawienia.

Kim złapała za słuchawkę i mimo późnej pory zadzwoniła do rodziców Rachel.

- Megan i Trący wyszły od nas o dziewiątej - powiedziała pani Le Boe zaspanym głosem. - Czy coś się stało?

- Nie ma ich jeszcze w domu.

Kim obdzwoniła wszystkie zaprzyjaźnione domy, ale jej córek nigdzie nie było.

Anna stała tuż koło niej, chłonąc każde słowo.

- Zadzwońmy na policję, pani doktor - powiedziała cicho. - Ostatnio zdarzały się w Seattle próby porwania dzieci.

Policjanci zjawili się po kwadransie, a wraz z nimi państwo Le Boe. Oboje byli bardzo przejęci, czuli się współodpowiedzialni za zniknięcie dziewczynek.

O czwartej nad ranem do domu Kim przyszli pierwsi reporterzy. Kim dała im zdjęcie dziewczynek i już w porannym wydaniu lokalnego dziennika zamieszczono reportaż o przypuszczalnym kidnapingu córek znanej lekarki.

Cały dzień Kim chodziła jak błędna. Chodziły jej po głowie najprzeróżniejsze myśli. Była przerażona do tego stopnia, że nie mogła jeść ani pić. Wieczorem przyszedł do niej George.

- W szpitalu wszystko w porządku. O nic nie musisz się martwić.

- A moje dzieci? Co z nimi? - spytała z oczami pełnymi łez.

- Policja robi wszystko, co w jej mocy, Kim. Zaufaj im. Postawili na nogi cały posterunek- Przeszukują każdy kąt, wypytują ludzi, pokazują im zdjęcia dziewczynek. Bądź dobrej myśli. Megan i Trący prędzej czy później znajdą się w domu.

Jakkolwiek Kim bardzo chciała w to uwierzyć, serce jej ścisnęła nieustanna trwoga o los dzieci. Jakże żałowała tej ostatniej niepotrzebnej rozmowy z nimi. Jak bardzo chciała mieć znowu przy sobie swoje małe córeczki!

George namówił ją wreszcie do przełknięcia kilku kęsów kanapki z szynką. Zmęczona Kim zasnęła w fotelu.

O dziesiątej obudziły ją jakieś głosy. - Megan, Trący! - zawołała z nadzieją.

Ale to nie były bliźniaczki. Natomiast przy kominku ujrzała Reynolda. Szedł już ku niej z wyciągniętymi ramionami. Przytuliła się do niego i pierwszy raz tego dnia rozplakała się żałośnie.

- Wsiadłem do samolotu natychmiast po przeczytaniu gazety. Georg powiedział mi, że zabroniłaś dziewczynkom kontaktów ze mną. Czuję się winny, Kim. Nie wiem, jak ci pomóc, ale po prostu chciałem być przy tobie.



- Ależ, Reynoldzie, nie masz z tą sprawą nic wspólnego! Byłam dla nich oschła i niesympatyczna. Obraziły się na mnie i przepadły. Jeszcze mam w oczach ich niemy wyrzut...

Kim urwała nagle, ponieważ w drzwiach stały jej córki. Krzyknęła i rzuciła się do nich. Całowały się i ścisnęły, płacząc i śmiejąc się na przemian. Za chwilę dołączyła do nich Anna. Szlochając zapewniała, że cały czas wierzyła i modliła się o szczęśliwe zakończenie tej nieszczęśliwej historii.

George Carlson skrzyżował ręce na piersiach i odchrząknął głośno.

- Już chyba pora, żebyście opowiedziały, co się z wami działo przez ten czas. Wiecie chyba, że jesteście poszukiwane przez policję.

Dziewczynki spuściły głowy, żadna nie miała odwagi wyznać prawdy.

- Najważniejsze, że nic się wam nie stało - powiedziała Kim.

- Nie, nic nam nie jest. Mamusiu, my się ukryliśmy... - powiedziała wreszcie drżącym głosem Trący.

- Po co? Dlaczego? - zdziwiła się Kim i zaraz poprosiła Annę o przygotowanie dziewczynkom czegoś do jedzenia i ciepłego mleka. Chciała poważniejszą rozmowę z córkami odłożyć na później. Widziała, że są bardzo zmartwione swoim postępkami i na razie nie chciała ich gnębić.

George też to zrozumiał i nie zadawał już więcej pytań. Pożegnał się i wrócił do swego domu, a Kim bardzo serdecznie podziękowała mu za pomoc.

Dziewczynki zjadły wszystko do ostatniej okruszynki. Musiały być bardzo wygłodzone.

- A teraz marsz do łóżek, panienki - zakomenderowała Kim. - I nie róbcie mi więcej takich numerów. Umierałam z niepokoju o was.

- Już nigdy, mamusiu, nigdy, przenigdy! - zawołały. Kim i Reynold zostali sami.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Kim - powiedział Reynold biorąc ją w ramiona. - Ale widzę, że jesteś zmęczona, więc nasza rozmowa może trochę poczekać.

- Chyba tak, dzisiaj nie nadaję się do niczego.

Następnego dnia spotkali się w eleganckiej restauracji w centrum Seattle. Reynold wolał, aby ich spotkanie odbyło się na neutralnym gruncie.

Rozmowa z początku w ogóle się nie kleiła, ale wypite wino zrobiło wreszcie swoje. Kim rozluźniła się nieco, a Reynold zdecydował się wreszcie przejść do rzeczy.

- Wiele zrozumiałem, czekając wraz z tobą na Megan i Trący, kochanie. Zrozumiałem przede wszystkim, że stałyście mi się bardzo bliskie. Bałem się

o bliźniaczki, tak samo jak ty. Polubiłem te trzpiotowate panienki, a może nawet pokochałem.

Kim uśmiechnęła się, szczęśliwa i zadowolona. Czowała, że bariera chłodu, która dzieliła ją i Reynolda, topnieje pod wpływem jego ciepłych, serdecznych słów.

- Wiesz zapewne, że moja kandydatura ma być wystawiona w wyborach prezydenckich. Przemyślałem całą sprawę. Nie będę niczego ukrywał przed moją partią. Najgorsza prawda jest zawsze lepsza od kłamstwa. Potrzebowałem jednak trochę czasu, aby dojść do tego wniosku. Stąd właśnie wzięło się moje milczenie, które mogło cię zabołec.

- Zabolało, i to bardzo, Reynoldzie - przyznała Kim.

- Nigdy więcej nie sprawię ci bólu, kochanie. Wczoraj wieczorem zrozumiałem, że ważniejsze jest dla mnie życie z tobą niż ewentualna prezydentura.

- Nie chciałabym jednak stać na drodze do twojej kariery - powiedziała Kim.

- Nie przerywaj, mi, skarbie, jeszcze nie skończyłem. Jeśli moja partia uzna, że małżeństwo z tobą nie stanowi żadnego zagrożenia dla mojej kandydatury, będę startował w wyborach prezydenckich. Najważniejszą jednak sprawą jesteś dla mnie ty.

Szczęście ogarnęło Kim gorącą falą. Mężczyzna, którego pokochała, nie zawiódł jej. Gotów był dla niej zrezygnować z najważniejszego urzędu w kraju. Nie była pewna, czy może przyjąć takie poświęcenie.

Zauważył wahanie w jej oczach.

- Kim, ja naprawdę to wszystko przemyślałem. Kocham cię i pragnę, żebyś została moją żoną.

Wyciągnął z kieszeni marynarki małe pudełeczko i otworzył je. Na granatowym aksamicie załśnił brylant. - To twój pierścionek zaręczynowy, Kim. Powiedz, zgadzasz się?

- To próba przekupstwa, ale niech ci będzie, zgadzam się.

- Wracajmy jak najszybciej do Megan i Trący i powiedzmy im o wszystkim.

- Na pewno się ucieszą!